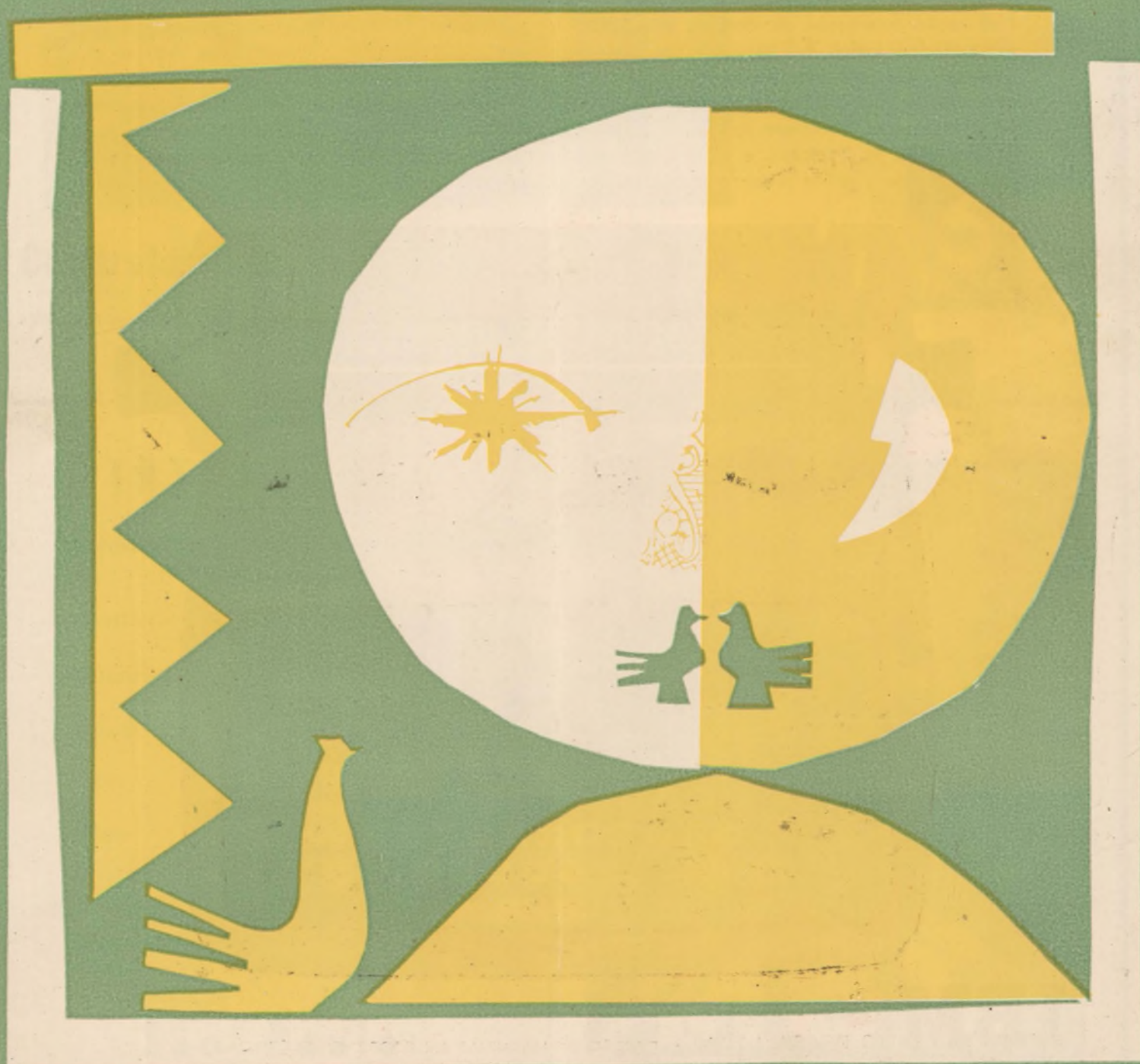


ANO V - FEVEREIRO 1964

N.º 38

2
pp

przegląd polski



revista polonêsa



A SURPREENDENTE IBM ELÉTRICA

A Nova IBM Elétrica, resultado de mais de 30 anos de pesquisa de Engenharia e experiência de Fabricação, surpreende de imediato pela beleza de suas linhas. O mais importante, porém, é o seu extraordinário índice de funcionalidade, sua capacidade de produção... e conseqüente redução de despesas. Veja que características próprias: dispositivo Exclusivo de Cópias Múltiplas que permite a obtenção de 15 a 20 cópias de uma só vez... teclado ajustável, com toque Personalizado... o carro de deslizamento Silencioso de 13"... a tabulação rápida e suave com ação Desaceleradora... a nova ação da Tampa... e 23 outras realizações técnicas que resultam numa datilografia sem esforço, o que significa maior produção para você, com a Nova IBM Elétrica.



IBM

DO BRASIL LTDA. • DIVISÃO DE MÁQUINAS DE ESCRIVER ELÉTRICAS

RIO DE JANEIRO: Av. Rio Branco, 80 - 6.º and. - Tel. 23-8566

SÃO PAULO: Avenida São Luiz, 86 - Telefone 32-5167

FILIAIS: Belém - Belo Horizonte - Brasília - Curitiba - Fortaleza - Niterói - Porto Alegre - Recife - Salvador - Santos



Organização completa de
construções e projetos
de edifícios
industriais,
residenciais
e obras de
engenharia

12 ANOS DE
TRADIÇÃO

Construtora e Imobiliária Tresel S. A.

AVENIDA S. JOÃO, 1086 - 4.º And. - FONE 36-7186 (rêde interna) - SÃO PAULO



"INTRA FERRO"

Indústria de Trefilação de Ferro Ltda.

Trefilação de metais não ferrosos:

Alumínio

Alpaca

Cobre

Latão

Av. Celso Garcia 1.338

phones: 93-1471

São Paulo



INDUSTRIA DE ABRASIVOS S.A.

Rua Fernandes Vieira, 174 - Belém - Fones: 92-2764 e 93-9700

Elektryczne instalacje przemysłowe
niskiego i wysokiego napięcia

E L O B R A

OBRAS ELÉTRICAS LTDA.

Brigadeiro Tobias 356 — 10.º Conj. 103 — Tel.: 34-0806

SÃO PAULO

Paczki i pieniądze

DO POLSKI I ZWIĄZKU SOWIECKIEGO

P. K. O. — Warszawa
Tazab — London

Z a s t ę p s t w o:

Empresa — J. RAJIC LTDA.
Praça da Sé, 399 — 4.º
Telefon: — 33-4983 i 36-8530
SÃO PAULO — BRASIL

Embeleze seu Lar

E VALORIZE SEU TV TORNANDO-O

MODERNO, FUNCIONAL E AGRADÁVEL

Mesas ELEM para TV

PROCURE NAS LOJAS ESPECIALIZADAS

WEEK-ENDY I WAKACJE

RANCHO BOA ESPERANÇA, SÃO JOÃO NOVO

1.000 m. n.p. morza, źródła wody mineralnej, uroczyska spaceru,
konie pod wierzchołkami, owoce.

Apartamenty z wodą bieżącą i światłem elektrycznym, kuchnia polska. — CENY UMIARKOWANE.

Odległość od São Paulo — koleją 1 i ½ godz. Estr. Sorocabana lub drogą kołową via Estr. Raposo Tavares do Maylański, a stamtąd 7 km. do S. João Novo.

Informacje telefonicznie: tel.: 35-5584 lub
Caixa Postal, 6335, São Paulo.
Tel.: SÃO JOÃO NOVO N.º 9



KUBKI PAPIEROWE

do 1 ltr pojemności

BUTELKI PAPIEROWE

(Container's)

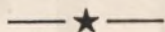
Talerzyki i kubki papierowe

Na uroczystości, pikniki, etc. (Fantasia)

Opakowania specjalne dla super-mercados, fabryk konserw, etc.

INDÚSTRIA INAJÁ

Artefatos, Copos, Embalagens de Papel S.A.



Fábrica: Rua Clelia, 1642 — Fone: 62-8631 — SÃO PAULO

End. Telegr.: "COPINDUS"

JEDNODNIÓWKA

California News

Niezależne pismo miesięczne. Ciekawe artykuły i wiadomości ze Stanów Zjednoczonych, głównie z Kalifornii i Arizony.

Prenumerując "Jednodniówkę" nie płacisz w dolarach. Wystarczy, że przysłesz używane znaczki pocztowe z Południowej i Centralnej Ameryki.

Zamówienia należy kierować pod adresem:
B. A. Zaremba, 6481 E. Florence ave
BELL GARDENS, Cal. U. S. A.

CONSTRUÇÕES MECANICAS
ROZENOWICZ LTDA.

Transportadores

Alimentadores

Elevadores

Peneiras

Moinhos de martelos

Estruturas metálicas

Rua da Balsa, 10 PIQUERI
Cx. Postal, 11.912 — SÃO PAULO

Lona de Freios

Thermoid

MARCA REGISTRADA

- para qualquer carro!

Usada como equipamento original pelos maiores fabricantes de automóveis e caminhões dos EE. UU.



- Brecadas mais rápidas
- Temperatura sempre baixa
- Duração mais longa
- Paradas mais suaves

Produzido no Brasil sob licença exclusiva e supervisão da THERMOID COMPANY, TRENTON N.J. U.S.A. por

PLÁSTICOS DO BRASIL S. A.

Avenida "F" (Travessa da Av. Tomaz Edison, 1251 - Barra Funda) — Fones 34-7413 - 35-9618 e 35-6726 — Cx. Postal 16327 (Casa Verde — SÃO PAULO.

Publinter 63-14

A VENDA EM TODO O BRASIL NAS MELHORES CASAS DO RAMO

KORZYSTAJCIE Z USŁUG

Companhia para Expansão da Construção

"COEXCO"

COEXCO inkorporuje nowoczesne i komfortowe domy mieszkalne. W domach COEXCO rozmieszczenie mieszkań, ich wykończenie i estetyka pozostają na najwyższym poziomie.

Pięć zasad COEXCO:

niezawodny termin
stała, niezmienna cena
własne tereny
staranne wykończenie
sprzedaż na raty

COMPANHIA PARA EXPANSÃO DA CONSTRUÇÃO "COEXCO"

São Paulo, r. São Bento, 279 — 12.º andar. Tel. 33-4737

Caldeiraria e Mecânica INOX Ltda.

ESPECIALIZADOS EM AÇO INOXIDÁVEL
— COBRE — ALUMÍNIO — FERRO —



RESERVATÓRIOS
AUTOCLAVES
CALDEIRAS
TANQUES
TACHOS



EQUIPAMENTO P/INDÚSTRIAS

- ★ Química - Farmacêutica
- ★ Gorduras - Sabões
- ★ Perfumarias - Cosméticos
- ★ Têxtil - Tinturarias
- ★ Papel - Papelão
- ★ Conservas - Chocolates
- ★ Carnes - Frigoríficos
- ★ Laticínios - Pasteurizados
- ★ Bebidas - Distilarias
- ★ Plásticos - Borracha
- ★ Tratamento de água

ESCRITÓRIO E FÁBRICA:
Rua Oliveira Lima, 455
Cambuci

Fone: 35-4995
SÃO PAULO

Indústria Metalúrgica STELLA LTDA.

TUBOS "ELETRODUTOS"

TUBOS TREFILADOS

TUBOS PARA QUALQUER FIM INDUSTRIAL

Escritório: — Rua Conselheiro Crispiniano

N.º 53 — 9.º andar — conj. 93

Telefones: — 35-9189 e 35-9180

SÃO PAULO

Fábrica — Via Monteiro Lobato, 3097

Guarulhos

ACMATEG

**MATERIAIS
DE CONSTRUÇÕES
EM GERAL LTDA.**

LADRILHOS - AZULEJOS
CERÂMICA

ELEMENTOS VAZADOS

LADRILHOS ESMALTADOS

MATERIAL DE CONSTRUÇÃO

EM GERAL, ETC.

Avenida Santo Amaro, 1480

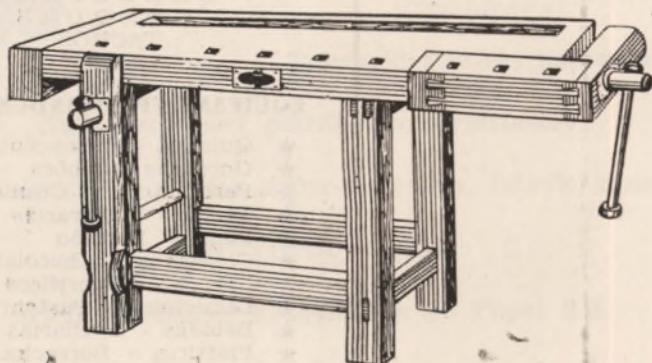
Fone: 61-5802 — Recados

SÃO PAULO

INDÚSTRIA DE MADEIRAS



RUA SOUZA LIMA, 200 — TEL.: 52-3942, — SÃO PAULO



Fabrykuje solidne warsztaty dla stolarzy, modelarzy i

amatorów jak również dla ślusarzy, jubilerów i t. p.

Posiadamy duży zapas warsztatów gotowych.

Tipografia

ALADA LTDA.

Rua Vitória, 237 Tel.: 35-2994

SÃO PAULO

Druki handlowe wszelkiego
rodzaju

Zaproszenia na śluby

Karty wizytowe

Stemple

WYKONANIE SOLIDNE

I TERMINOWE

LAMINAÇÃO DE ALUMÍNIO, CHAPAS, DISCOS, ETC., EM TÓDAS AS ESPESSURAS E
DUREZAS — MATERIAL DE ALTA QUALIDADE PARA TODOS OS FINS.

LAMINAÇÃO DE METAIS

ELMET S. A.

ESCRITÓRIO E VENDAS: — RUA QUIRINO DE ANDRADE, 219,

CONJUNTO 74 — TELEFONE: 33-4936



TRANSPORTES RODOVIÁRIOS PARA:

São Paulo
Salvador
Recife

Av. Guilherme Cotching, 776

Fone: 93-7910 — SÃO PAULO.



Sociedade Paulista
de Instalações Gerais S. A.

PROJETOS

INSTALAÇÕES INDUSTRIAIS

ELETRICIDADE

MECÂNICA

HIDRAULICA

AV. DUQUE DE CAXIAS, 94

FONE: 52-1105 - (Rêde Interna)

End. Telegr.: "SPIGERAL"

São Paulo

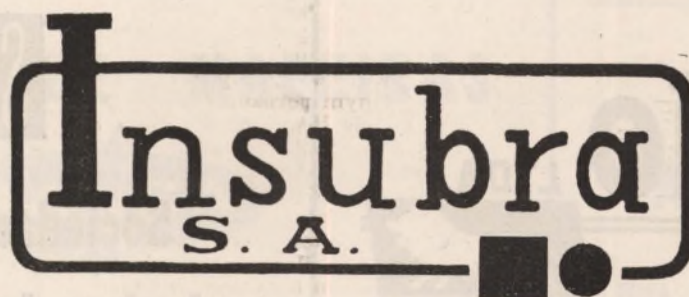
RESIL S.A.

INDÚSTRIA E COMÉRCIO

RUA MARTIM BURCHARD 254

FONES: 93-5050 - 92-2498

**CARCASSAS DE MOLAS DE AÇO
PARA VEÍCULOS MOTORIZADOS**



A MAIS COMPLETA LINHA DE TODAS AS MÁQUINAS PARA SEU ESCRITÓRIO

Distribuidores exclusivos no Brasil das seguintes marcas:

ADLER — máquinas de escrever e de contabilidade

EVEREST — máquinas de escrever e somar, de calcular e de contabilidade

ROTO-CENTO-PRINTO — duplicadores e mimeógrafos a álcool, tinta e processos heliográficos

CITOGRAPH — equipamentos de endereçar e organização

ORMIG — máquinas de racionalização e organização de trabalho

DIEHL — máquinas de calcular superautomáticas

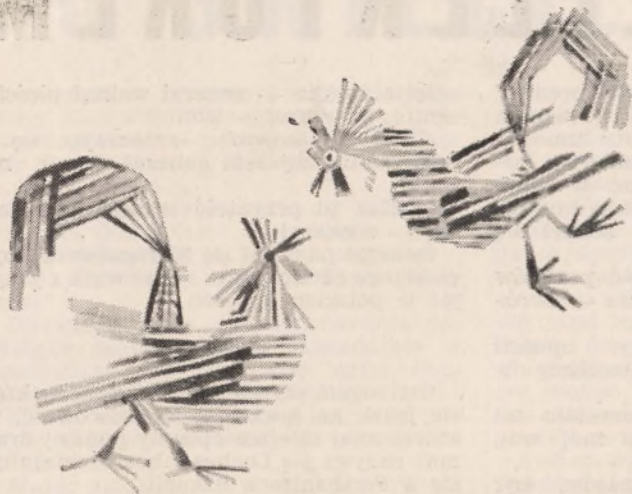
POSTALIA — máquinas para franquiar correspondência e selos fiscais.

São Paulo: — rua Vitória, 302/4, fone: 37-3171

Rio de Janeiro: — Av. Rio Branco, 138, 14.º, fone: 22-6663 e 22-9880

Pôrto Alegre: — Praça Rui Barbosa, 220 Ed. Tannhauser 2.º, fone: 8323

DISTRIBUIDORES AUTORIZADOS NAS OUTRAS CAPITAIS DO PAÍS.



REDADORES RESPONSÁVEIS: Casimiro Kinskowski e Sigismundo Schlegel.

REDATOR CHEFE: Seweryn A Hartman

DIRETOR ADMINISTRATIVO: Sergio Elia.

REPÓRTER: José Fassina

REVISOR: Adelio Buono

EDITADA: pela Editora Team Ltda.

Redação e Administração: Av. Ipiranga, 1071 - 8.º - S/811/12
Cx. Postal 4530 - Fone: 35-5432 — São Paulo — Brasil.

Assinaturas: Cr\$ 1.200,00 anuais (12 números). Para os estados do Paraná, Santa Catarina e Rio Grande do Sul Cr\$ 800,00.
Para o exterior: US \$ 3,00.

Composto e impresso na "GRÁFICA VICENTINA LTDA." —
Alameda Cabral, 846 — Curitiba — Paraná



POLITYKA I RZECZYWISTOŚĆ — POLITYKA I RZECZYWISTOŚĆ — POLITYKA

NIEFORTUNNA MISJA HESSA

Najmowany na dniówkę szkocki robotnik rolny David McLean siedział oto późnym wieczorem 10 maja 1941 r. w swojej izbie na wprost cudzoziemca i uporczywie przyglądał się jego butom lotniczym. One to najbardziej przykuwały uwagę robotnika. Były z miękkiej skóry jak damskie rękawiczki, a przy tym wewnątrz wyłożone futrem. Szkot wywnioskował z tego wszystkiego, że pilot, który właśnie przed kwadransiem wylądował ze spadochronem wśród pobliskich krzaków i ze zwicniętą kostką przywłókł się do izby, nie był zwykłym lotnikiem.

Istotnie, przed McLeanem siedział Rudolf Hess — zastępca Adolfa Hitlera. Kategorycznie odmawiał wypicia herbaty i jeszcze bardziej kategorycznie domagał się zaprowadzenia go do lorda Hamiltona, aby mu przedłożyć... warunki podpisania pokoju z Wielką Brytanią. Nie zdołał po ciemku wylądować w parku i trafił przypadkowo w obejście robotnicze.

Lot Hessa, drugiego co do rangi hitlerowca w III Rzeszy, stał się sensacją światową. Hitler kazal ogłosić, że jego zastępca doznał zamroczenia umysłowego.

Ostatnio brytyjski dziennikarz James Leasor zajął się w wydanej po niemiecku książce pt. "Botschafter ohne Auftrag" ("Ambasador bez misji") okolicznościami, które towarzyszyły lotowi Hessa do wrogiego kraju. Zastępca Hitlera podjął tę wyprawę pośrodku wojny po długich i starannych przygotowaniach, których — rzecz zdumiewająca — nikt nie udaremniał, mimo że w Rzeszy aż roiło się od gestapowskich szpiclów. Autor bynajmniej nie uważa Hessa za osobnika zamroczonego na duszy czy umyśle i po długich, a wnikliwych badaniach dochodzi

do wniosku, że po prostu "towarzysz partyjny nr 7" (Hitler) bezgranicznie ufał "towarzyszowi partyjnemu nr 16" (Hessowi), który dzięki temu korzystał z wszystkich możliwych swobód. Zdaniem Leasora Hess najprawdopodobniej wystartował do swojego "pokojuowego lotu" do Anglii w tajnym porozumieniu z Hitlerem. Przyjaciele Hess i Hitler znali się od samych początków brunatnego ruchu. Po nieudanym puczu monachijskim siedzieli razem w twierdzy Landsberg, gdzie Hess współredagował... "Mein Kampf" Hitlera — "ewangelie" hitleryzmu. W NSDAP nazywano Hessa "sumieniem Führera". Nic zatem dziwnego, że kiedy Hitler latem 1940 r. po raz pierwszy zaczął wysuwać macki "pokojuowe" w stronę Anglii, również i Hess podjął przygotowania do swojego lotu. Teza dziennikarza brytyjskiego nie jest nowa, jednakże szukając argumentów na jej poparcie odbył wiele rozmów aż z 40 osobami spośród otoczenia Hessa i przewertował mnóstwo najróżniejszych dokumentów. W rezultacie powstała książka, która zawiera wiele interesujących szczegółów.

Hess postarał się przede wszystkim o dobry samolot. Pomógł mu w tym znany konstruktor lotniczy — profesor Messerschmitt, który pozwolił mu latać na tajnym modelu niszczyciela "Me 110" Był to dwumotorowy prototyp, silniejszy i zwrotniejszy niż używane wówczas przez "Luftwaffe" maszyny. Słyszając od Hessa, że ma on do spełnienia jakąś "misję specjalną", Messerschmitt przebudował nawet nieco maszynę. Usunął z niej mianowicie fotel drugiego pilota, a na to miejsce wstawił dodatkowy zbiornik z benzyną, oprócz tego zaś zainstalował pokładowe urządzenie telegraficzne o niezwykle dalekim zasięgu. W celu jak najlep-

szego opanowania maszyny Hess, który był zresztą zamięłowanym lotnikiem, odbył trzydzieści - dwugodzinnych — lotów nad Augsburgiem i okolicą.

Do Wielkiej Brytanii startował trzy razy. Po raz pierwszy zrobił to w styczniu 1941 r., lecz lot się nie powiódł na skutek wady materiałowej w sterze wysokościowym. Maszyna nie mogła uzyskać odpowiedniego pulapu. Z drugiego lotu Hess zawrócił, ponieważ nie sprawdzała się przepowiednia meteorologiczna, którą mu od kilku dni regularnie przekazywała sekretarka z ministerstwa lotnictwa. Już przed pierwszym startem Hess wtajemniczył w sprawę swojego adiutanta — Karlheinz Pintscha, który do dzisiaj wspomina, że szef oświadczył mu wyraźnie: "Führer nie wie, że właśnie dzisiaj podejmę próbę, ale jest jego najpilniejszym życzeniem, żeby zawrzeć pokój z Anglią". Następnie Hess zapewniał swojego adiutanta, że często rozważał wszelkie możliwości z "Führerem", profesorem Haushoferem (geopolityk, ojciec duchowy "Lebensraumu") i jego synem — Albrechtem, który jako dyplomata hitlerowski zaprzyjaźnił się przed wojną z lordem Hamiltonem. Wszyscy rozmówcy Hessa byli zdania, że trzeba jak najprędzej ustalić bezpośrednie kontakty, aby

(Doc. na str. 8)

W TYM NUMERZE:

- sensacyjne wspomnienia więźnia obozu hitlerowskiego,
- znakomite opowiadanie Ligii Fagundes Telles, pt. "Malec",
- opowiadanie (czyta się jednym tchem) H. Przyborowskiego pt.: "Klamra i kula" —
- i wiele innych ciekawych artykułów i opowiadań.

“zastępować przelew krwi pomiędzy dwoma szczepami germańskimi”.

Hess wprawdzie nie dodał, że przed najazdem na ZSRR Hitlerowi byłoby wygodniej, żeby Wielka Brytania zachowała przynajmniej neutralność, jeśli już nie może stanąć po jego stronie, niemniej jednak tak rzecz należało rozumieć. Za to adiutant Hessa wiele się nasłuchiwał, jak to będzie pięknie, gdy jego szef za pośrednictwem lorda Hamiltona przedłoży królowi Wielkiej Brytanii i Churchillowi swoje propozycje pokojowe... Za te wszystkie wylewności Hess wymagał od Pintscha tylko jednego: żeby przekazał jego list Hitlerowi. Oczywiście, adiutant przyrzekł, że spełni polecenie.

Trzeci z kolei — i ostatni — start do Wielkiej Brytanii odbył się 10 maja 1941 r. o godz. 10 z lotniska w Augsburgu. Była to sobota. Jak się później okazało, tejsze soboty i tegoż wieczora Wielka Brytania przeżyła największy z wszystkich poprzednich nalotów, w którym uczestniczyło 500 maszyn “Luftwaffe”. Temu zapewne należy przypisać, że samolot Hessa zdołał przemknąć niezauważenie ponad Anglią i około godz. 22 znalazł się nad Szkocją w pobliżu hamiltonowskiego Dungavel Hill, leżącego o 15 km za zachód od Glasgow. Aby należycie zorientować się, gdzie najlepiej będzie wyskoczyć. Hess przeleciał dwukrotnie nad siedzibą lorda Hamiltona — Dungavel House, w kierunku zachodnim aż do morza i z powrotem. Wreszcie znalazł stosowne miejsce, lecz...

W trzydziestu lotach nauczył się panować nad swoim “Messerschmittem”, nauczył się obsługiwać długozasięgowe urządzenie telegraficzne, opanował pamięciowo całą trasę lotu, o jednym tylko zapomniał: że trzeba umieć skakać ze spadochronem. Techniki skoków nie znał nawet teoretycznie.

Stłumił motory, lecz za nic w świecie nie chciał lądować, ponieważ postanowił nie oddawać tajnego modelu maszyny we wrogie ręce. Kiedy więc przygotowywał się do skoku, samolot szybko wytracał wysokość. Hess otworzył kłapę i chciał skoczyć, ale ciśnienie powietrza wtoczyło go z powrotem na fotel. Maszyna zeszła zbyt nisko, wobec czego niefortunny skoczek mocno nacisnął ster wysokościowy. “Messerschmitt” stanął dębem i z wyciem wyskoczył pionowo w górę. Hess zemdlął. Gdy się ocknął, szybkościomierz zbliżał się do zera, maszyna niemal bez ruchu zawisała między niebem a ziemią. Wtedy udało się Hessowi wygramolić wraz ze spadochronem. Zdołał jeszcze otworzyć spadochron, lecz znowu zemdlął od pędu. Kiedy się ocknął po raz drugi, znajdował się już na ziemi szkockiej... ze zwiniętą nogą. “Messerschmitt” roztaraskł się o ziemię. Wówczas Hess przykuśtykał do zagrody McLeana i w sposób autorytatywny zażądał, by go ów wieśniak szkocki zaprowadził do lorda Hamiltona...

Po długich ceregielach udało się Hessowi dotrzeć do Hamiltona, lecz nie mógł go przekonać, że jest Hessem. Znacznie później hitlerowski “wysłannik pokoju” dotarł jednak do członka gabinetu brytyjskiego — sir Johna Simona, aby przedłożyć mu swoje “warunki pokojowe”... Obejmowały one zwrot wszystkich kolonii niemieckich, wybór nowego premiera Wielkiej Brytanii itd. Uznano je za fantastyczne, a Hessa potraktowano jako... jeńca wojennego. W tym charakterze przebywał w Anglii aż do procesu Norymberskiego, w którym 1.X.1946 r. został skazany na dożywocie za “spisek przeciw pokojowi”.

Adiutant Hessa, przeczekawszy niemal całą dobę, przekazał list swego szefa

REFLEKTOREM

Za dobrych, obfitujących w “premie” klubowych czasów, (Klabin - wielka firma w Pałanie - przyp. aut.) umówiłem się na obiad z pewnym młodym Polakiem. Mieliśmy się spotkać w nowo otworzonej restauracji wielkiego hotelu. Gdyśmy zasiedli do stolika zbliżył się kelner.

— Nie wolno nam podawać posiłków klientom którzy są bez krawata — zwrócił się do mojego towarzysza.

Młodzieniec, jak niepyszny, opuścił restaurację. Feijão i arroz, zjedliśmy w pobliskiej spelunce.

Zdarzenie powyższe przypomniało mi historyjkę, którą opowiedział mój wuj, Bolesław Wielogłowski.

Otóż wuj, za carskich czasów, był “kornetem” rezerwy jednego z pułków gwardii w Petersburgu, (“kornet” — coś w rodzaju podchorążego).

Regulamin armii carskiej mówił, że nie wolno niższemu stopniem oficerowi, zając stolika w restauracji bez zameldowania się i poproszenia o pozwolenie starszego oficera, o ile taki już się znajdował w lokalu.

Wuj, ukończywszy kilkotygodniowe ćwiczenia, postanowił oblać ten fakt i udał się do pierwszorzędnej petersburskiej restauracji.

Nie zauważywszy żadnego oficera starszego stopniem rozpoczął ucztę. Kawior poszedł gładko, “siga” ditto, wymyślny pieróg tak samo.

Z ukrytego za palmą miejsca podziwiał apetyt korneta pułkownik piechoty. Jadł on bosi barszczyk. Na stole przed nim stała tylko butelka wódki.

Wszystko szło nieźle, dokąd wuj nie zadysponował “marożennych” czyli lodów i szampana. Wtedy pułkownik nie wytrzymał. Ślina mu ciekła na brodę.

— Kornet! — huknął zza palmy, — pajdi siuda!

Wuj wstał i wyprężył się przed stolikiem pułkownika.

— Wy mnie nie prosili o pozwolenie zajęcia stolika! — zgrzytnął — Poszoł — won!!!

Wuj zrobił “w tył zwrot”. Kiedy zbliżał się już do wyjścia z sali restauracyjnej, usłyszał tubalny, grzmiący głos:

— Kornet, stój!!!

Nogi się ugięły pod wujem. W rogu sali, samotny, siedział — generał. Wuj stał jak wmurowany w podłogę.

— Pułkownik — ryknął generał — pajdi siuda!

Pułkownik piechoty, wstał zza butelki wódki i stanął przed generałem.

— Wy mnie nie prosili o pozwolenie

zajęcia stolika — generał wałnął pięścią w stół. — Poszoł — won!!!

Kiedy pułkownik, zataczając się z przerażenia, wyszedł generał skinął na wuja.

— Każ tu przynieść szampana i siadaj — rozkazał.

Generał nazywał się Sierżputowski, był polskiego pochodzenia i znał wuja z przyjeżdżając w polskich domach.

* * *

Ostrzegam czytelnika: może sobie skreślić język na korkociąg. Miejsce, w której miał miejsce opisany poniżej dramat nazywa się Lochearnhead i znajduje się w Perthshire w Szkocji.

Politycy i naukowcy brytyjscy lubią łączyć przyjemne z pożytecznym i odbywają swoje zjazdy w uroczych miejscach wypoczynkowych. W Walii popularne jest Llandudno, w Anglii Blackpool, Bournemouth lub Brighton, w Szkocji Rothesay, Auchterarder albo wyżej wspomniane Lochearnhead.

Zjechali się tutaj przed samymi świętami najlepsi znawcy kryminologii w Wielkiej Brytanii i Wspólnocie Narodów.

Konferencja była poświęcona wynalezieniu sposobów na powstrzymanie przerażającej fali rabunków, ukoronowanych w r. ub. zatrzymaniem pociągu i zrabowaniem 2 i pół miliona funtów szterlingów.

80 uczestników zjazdu wygłaszało referat za referatem.

Reasumując późnym wieczorem ostatniego dnia zjazdu wyniki obrad przewodniczący Lord Kilbradon stwierdził, że konferencja była punktem zwrotnym w systemie walki ze złodziejami i gangsterami.

Jej rezolucje powinny raz na zawsze odstrążyć ich od zbrodniczych czynów.

Rano, pierwszy obudził się w hotelu Lord Kilbradon.

Sięgnął po zegarek, który położył poprzedniego wieczoru na stoliku. Zegarka nie było.

— Cóż to za głupie żarty — mruknął, szukając spodni.

Spodnie znikły. Marynarka z portfelem w kieszeni, trzewiki, koszula ze złotymi spinkami, pamiętającymi czasy Marii Stuart, to samo.

Lord, zadzwonił na służbę. Nie mogąc się nikogo doczekać, otworzył drzwi. Na korytarzu zobaczył biegających w piżmach uczestników konferencji.

— Gdzie moje spodnie! — krzyczał sędzia kryminalny z Glasgow.

— Oddajcie mi moje przybory golfowe! — wył inspektor Scotland Yardu.

Na pół zemdlonemu miejscowemu szeryfowi Williamsonowi wlewano do gardła “lovely cup of tea” czyli marną herbatę.

Złodzieje opylili na glanc całą konferencję.

Sklepy z ubraniami i bielizną w Lochearnhead zrobiły majątek.

* * *

Dwa i pół miliona funtów szterlingów, — o których wspominałem powyżej — były transportowane ze Szkocji do Londynu, gdzie zgodnie z decyzją Bank of England miały być zniszczone.

Inną, poważną kwotę przeznaczoną na zniszczenie przygotowywał Bank of Midland. Urzędnik tego banku, przerażo-

“Führerowi” w Berchtesgaden. Hitler jadł właśnie obiad z ministrem Rzeszy — Todtem, Ewą Braun i gen. Bodenschanzem. Dopiero po obiedzie przeczytał list i na wszelki wypadek kazał zaarrestować adiutanta Pintscha. Generał Bodenschanz, naoczny świadek tej sceny, jest zdania, że Hitler przeczytawszy list, świetnie odegrał zdumienie i oburzenie... Dopiero 12 maja, kiedy się przekonał, że misja Hessa spaliła na panewce, kazał dać do prasy komunikat, że Hess zaginął, padłszy zapewne “ofiara pacyfistycznych halucynacji”...

ALEKSANDER PŁACZKOWSKI

PO ŚWIECIE

ny rabunkiem, poznał wszystkie banknoty specjalnym ołówkiem. "Jak pieniądze zrabują — pomyślał — łatwo będzie złapać złodziei. Banknoty i tak mają być spalone."

Czy mu podziękowano za tą zapobiegliwość? Gdzie tam: wyrzucono go z banku. Przeciwno tej decyzji zaprotestował J. Gordon na łamach "Sunday Express".

Obawiam się że jego interwencja nie odniesie skutku. Ludzie, posiadający w łepetynach jaką taką dozę logiki, skazani są w tym życiu na zagładę.

Każdy człowiek myślący logicznie powinien być przygotowany na wyrzucenie go na bruk.

Mając nadzieję, że zredukowany urzędnik Midland Banku, czyta "Przegląd Polski" (w przekładzie Tymona Terleckiego), a życząc mu jak najlepiej, pozwolę sobie udzielić mu poniżej kilku rad, które powinny mu ułatwić zrobienie kariery.

Przed wszystkim niech raz na zawsze przestanie rozumować — logicznie.

Żeby zostać dyrektorem, czy też szefem logika jest zbyt cienką.

Potrzebne są natomiast "plecy", giętki kark i zdolność klepania o tym, że się wszystko lepiej umie od innych. Żona dyrektora, (b. ważny instrument do zrobienia kariery), ubierając się u krawcowej z rogu ulicy, powinna głosić że stroje jej pochodzą od Diora, umieć zgrabnie kręcić biodrami (z przyległościami), rzucać obiecujące spojrzenia w stronę zwierzchników męża oraz posiadać umiejętność napychania brzuchaczy kamaronami, galiną com polenta, czy feijoada completa, nie zapominając o sztuce mieszania cocktaili. W wypadku angielskim wystarczy owsianka, jajko na bekonie i kłajster zwany przez tubylców — puddingiem. "White Horse" whisky, sam ich dowiezie do mety.

Jeśli wylany z Bank of Midland urzędnik zastosuje się do tych rad spokojnie będzie o jego przyszłość.

* * *

W uroczej stolicy Hiszpanii — Madrycie, Manuel Navarro, liczący sobie 36 lat, romantycznego żywota, został pocięty nożem w krótkie przez Natividad Garcia 70-letniego sąsiada. Garcia ukarał go w ten niezbyt kulturalny sposób za flirtowanie ze swoją dziewczyną — 68-letnią Paquitą della Rosa.

Manuel leży obecnie w szpitalu z fizjonomią przypominającą szachownicę.

Gdy wyjdę ze szpitala, to nauczę łobuza czym jest prawdziwa miłość... — sepleni przez rozciętą wargę.

Myślałem, że już minąłem wiek niebezpieczny. Jak widać z powyższego zdarzenia, trzeba się mieć na baczności do końca życia.

Na wszelki wypadek mam zamiar kupić sobie nóż.

O ile dolar znowu nie podskoczy.

* * *

Miły czytelnik "Reflektora", zapytał mnie niedawno, czy w następnym numerze będzie coś "własnego".

— Nie mogę zapomnieć o pułkowniku, który telefonował do jasnovidza Szyllera-Szkolnika w sprawie końca świata... — powiedział.

Ano, — będzie.

Ale proszę urocze czytelniczki, aby tej historii nie czytały.

Dla oddania całej prawdy, zmuszony byłem się uciec do drastycznych określeń. Poza tym, pisałem ją dialektem warszawskim, nie każdemu dobrze znanym.

Po wojnie spotkałem w Londynie moich dwóch dawnych znajomych.

Pierwszy, Manius, był ongiś woźnym jednej z warszawskich "Kas Chorych", drugi, Wacunio, przez pewien czas zajmował się fryzjerstwem. Nie bardzo zasmakował w tym fachu i zdecydował się ożenić z jedną z klientek swojego zakładu, niewiastą starszą o 24 lata. Różnice wieku wyrównała piękna kamienica na Marszałkowskiej.

Kiedys, Wacunio pokazał mi fotografię ślubną. Panna młoda wyglądała na mamusię, która przyprowadziła synka do pierwszej Komunii św. Tym synkiem był Wacunio, "pan młody".

Manius, grał niezłe w szachy i zachodziłem do niego przy niedzieli na partyjkę.

Pewnego razu, zastałem tam Wacunia. Obaj byli bardzo podenerwowani.

— Wyobraź pan sobie, panie Henryk, — Manius wskazał palcem Wacunia — odmówiła temu ciemnemu chomątowi po raz trzeci rozwodu!

Trzeba dodać, że Wacunio zakochał się — w wzajemnością — w młodej i ładnej Angielce, posiadającej sklep i błągał swoją dawną magnifikę o udzielenie rozwodu.

— Siadaj ofiaro rurek i pedikuru i pisz. — Manius podsunął krzesło i położył na stole papier listowy.

Usiadłem w rogu kanapy w oczekiwaniu dyktanda utworu, którym Manius postanowił przekonać małżonkę Wacunia o konieczności rozwodu.

— "Najdroższa moja i uwielbiana żono!" — rozpoczął dyktando.

— Kochana, nie wystarczy? — zapytał Wacunio, — przecie wiesz, że to szantrapa jakiej szukać...

— Pisz! — obruszył się Manius.

Pragnę ci zakomunikować żoneczko najmiłsza, że zmieniłem zdanie. Twoje listy mnie przekonały. Tak miłej kobietki nigdzie nie znajdę. Wracam do Kraju.

Wacunio spojrzal zdumiony na Maniusa.

— Nie patrz się smutny dyszlu, tylko pisz — powiedział ten ostatni.

"Ale, muszę ci teraz nareszcie wyznać całą prawdę. Do Gdyni musisz przyjechać po mnie z wózkiem na gumowych kółkach. Zawiały mnie te londyńskie mgły i chodzić mi jest trudno. Poza tym, musisz kupić kilka prześcieradeł. Wentyle mi nawalają — czas to pieniędzy i leci — i pościel musi być zmieniana po każdej nocy".

— Jak to? — zdziwił się Wacunio — Znakom tego, powiadasz, że moczę?

— A chciałbyś jeszcze coś gorszego? Pisz i nie przeszkadzać.

"W mieszkaniu, też muszą nastąpić pewne zmiany" — ciągnął dyktando Manius, — "Ukochany kanarek — wont! Do klatki musisz wsadzić — kwokie. Podobno w Warszawie mortus z jedzeniem, i będziemy mieli jajka."

Wacunio odłożył pióro.

— Dlaczego kwokie? — zapytał. — Najlepiej kaczki? Daje większe jajka.

— Zamknij gębusie i pisz! — wykrzyknął podenerwowany Manius.

"Aczkolwiek wiem, że nie znosisz psów, musisz zaraz kupić rasowego cwałnoga. Niedowidzę na lewe oko, a warszawskie szoferyki nie są dyplomowane.

Cwałnos bezpiecznie będzie mnie przeprowadzał przez ulice.

Co do forsy, to nie mam ziamanego peniaka. Pomyśl o tym, żeby mi nie zabrakło na sanatorium w górach. Może być także samo nad morzem.

Jak przyjedziesz po mnie do Gdyni to uważaj żebyś mnie poznała.

Nie gołę się już cztery lata i mam siwą blond brodę. Noszę czarne okulary, a pod pachę wsuwam kulę z plastyku. Do rychłego zobaczenia, aniele mój marcepanowy. Twój wierny mężulek — Wacław".

Kilka miesięcy później, już przed wyjazdem do Brazylii, spotkałem Wacunia. Siedział na ławce w Hyde Parku i minę miał bardzo smutną.

— Co słychać, panie Wacławie? — zapytałem, siadając obok. — Odnisala?

Wacunio wyjął z kieszeni list. Zaczęłam czytać.

"... już ja cię dobrze znam ty łobuzie" — pisała pani Wacuniowa, — "wszystko coś napisał to lwa i dety saksofon, przyjeżdż do Gdyni a będziesz ganiał bez wózka na gumach w tę i nazad, lachudro. A jak nie przyjedziesz, to ja sama pojadę do twojego Londynu i za te broduchnę kochaną przywlokę na Marszałkowskie."

Słyszałem że Wacunio wyemigrował do Australii.

* * *

Na zakończenie "własnych" opowiadań, zdumiewająca wiadomość:

Do kolegi red. S. Hartmana zgłosił się pierwszy rodak i oświadczył że pragnie wypłacić przedpłatę na moją książkę p.t. "Raport karny".

Jej wydawca, Bolesław Świderski z Londynu, pisze mi że ofiaruje mu premię. Będzie nią Aero-Willis "0" kilometrów.

Tak więc do tej chwili, 1. (słownie jeden) Polak brazylijski, zainteresował się pracą, na którą poświęciłem dwa lata.

Dzięki niemu, nie zmarnowałem czasu. Nie tracę nadziei, że w Patagonii albo na Grenlandii znajdzie się więcej przyjaciół gotowych mi pomóc.

* * *

Proboszcz Kościoła Anglikańskiego pod wezwaniem św. Gabriela w miejscowości Criclewood (Walia) wydrukował w swoim organie parafialnym, następujące wynurzenie: "Wiadomym mi jest, że w jednej wielkiej naszej instytucji państwowej, dziewczętom - urzędniczkom, wolno urodzić dwoje nieślubnych dzieci. Dopiero jeśli się narodzi trzecie nieślubne dziecko, instytucja decyduje się ostrzec matkę, że prowadzenie jej nie licuje z godnością instytucji, w której pracuje."

Po zdemobilizowaniu naszej armii, która przez kilka lat przebywała w Anglii, przeprowadzono statystykę nieślubnych urodzin w miejscowościach, w pobliżu których, znajdowały się obozy W. P.

Rezultatu tej statystyki, nie podam do wiadomości proboszcza Kościoła św. Gabriela. Musiałby powiększyć objętość swojego ciekawego pisma.

* * *

W związku z powyższym kłopotem zacnego proboszcza inna wiadomość. Najwyższy sąd austriacki w Wiedniu, zaopiniował ostatnio, że bliźniaki nie koniecznie muszą posiadać jednego ojca. Decyzja ta została wydana na podstawie skargi młodej "freulein" z miasta Steiz w Styrii. Profesorowie — rzeczoznawcy sądowi — orzekli, że jedno z bliźniąt — chłopiec — jest istotnie dzieckiem młodzieńca przeciwko któremu wniesiono skargę, natomiast drugie — dziewczynka, ma innego tatusa.

Po wydaniu tego werdyktu, przewodniczący sądu zauważył, że wypadek pańienki ze Styrii jest wyjątkowo ciekawy.

Podzielim tę opinię.

HENRYK PRZYBOROWSKI



W ŚWIECIE NAUKI — W ŚWIECIE NAUKI —

Wrocławski laser gazowy

Nie jeden czytelnik być może wzruszy ramionami: nowa moda pośród elektroników. Jeszcze niedawno obiektem ich rywalizacji były maszyny cyfrowe. Dziś ustąpiły one miejsca świeższej nowości — laserom. Pierwsze lasery polskie powstały pod koniec ub. roku w Warszawie i Poznaniu. A ostatnio zwięzły depesze agencyjne doniosły, że na Politechnice Wrocławskiej zbudowano laser gazowy.

Wpierw dwa słowa o tym, co oznacza ten termin. Laikowi niewiele on mówi, co jest zupełnie zrozumiałe, jako że pierwsze takie urządzenie powstało w USA dopiero przed 3 czy 4 laty. Mowa o urządzeniu elektroniczno-optycznym, którego istota polega na emitowaniu (wysyłaniu) niezwykle regularnej i dającej się silnie skoncentrować wiązki promieniowania. Te cechy emitowanego przez laser strumienia światła — widzialnego lub niewidzialnego (podczerwień) — rysują przed nim wielką i wspaniałą przyszłość, a mianowicie szerokie zastosowanie w telekomunikacji (telefon, radio, telewizja), telemekhanice, telemetrii, nawigacji kosmicznej itd.

Bardzo regularna, mocno skupiona wiązka fal o wielkiej długości (światło podczerwone laser wysyła na fali dłuższej niż najdłuższa fala świetlna) umożliwia przekazywanie sygnałów na odległości, o jakich dotąd nawet marzyć nie można było. W przyszłości będzie to może jedyny sposób utrzymywania łączności w ogromnych przestrzeniach kosmicznych. Olbrzymia — jak powiadają fachowcy — pojemność wiązki laserowej umożliwi również przesyłanie za jej pomocą sygnałów radiowych, telewizyjnych czy telefonicznych w sposób nieporównanie bardziej regularny i pewny niż przez jakikolwiek "Telstar". Perspektywy zatem są co się zowie nęcące.

Wypada już jednak przedstawić bliżej samo urządzenie, oczywiście na przykładzie wrocławskim. Jest to bowiem przykład najnowszy, czwarty w kraju i — jak utrzymują znawcy — najbardziej interesujący w polskiej rodzinie laserów gazowych.

Na początku roku zespół pracowników Katedry Podstaw Telekomunikacji Politechniki Wrocławskiej, kierowany przez doc. dr inż. Zbigniewa Godzińskiego, uruchomił skonstruowany od a do z we Wrocławiu laser gazowy. Urządzenie to podobno przewyższa wszystkich swoich poprzedników (z Wojskowej Akademii Technicznej, Uniwersytetu Poznańskiego i Politechniki Warszawskiej) precyzją konstrukcji, a więc i zakresem możliwych zastosowań.

Oto dwa główne elementy lasera: osrodek aktywny — lampa wyładowcza wypełniona rozrzedzonym gazem (mieszana helu z neonem) z umieszczonymi na zewnątrz elektrodami oraz systemem luster. Impuls elektryczny z niewielkiego generatora via elektrody powoduje wyładowanie gazów w lampie wyładowczej i emisję światła. Umieszczone w pewnej odległości od obu końców lampy (o wygładzie długiej rury szklanej) lustra w

drodze wielokrotnych odbić wzmacniają określoną barwę strumienia światła. W naszym przypadku tą niesłychanie silnie wzmoconą barwą jest podczerwień, a zatem światło niewidzialne.

Dzięki systemowi optycznemu czyli lustrum laser wysyła, jako się rzekło, nadzwyczaj regularną wiązkę promieni świetlnych o właściwościach podobnych do fali radiowej. To zaś umożliwi różniczne wspomniane zastosowania lasera.

Tu należy się słowo o tzw. komórce Kerra. Jest to pewien układ modulacyjny, ułożony na zewnątrz lasera, którego zadaniem jest "nałożenie" sygnału, np. akustycznego, na falę świetlną. Otóż komórka Kerra, aparacik niewielki i zgoła niepozorny, ma tę właściwość, że potrafi zmienić natężenie wiązki światła w takt zmian napięcia prądu elektrycznego. W taki właśnie sposób można "nałożyć" np. program radiowy czy telewizyjny na strumień światła emitowany przez laser.

Wrocławianie pracowali nad swoim laserem od półtora roku opierając się na dostępnej literaturze a merykańskiej. Przed rokiem powstał pierwszy projekt, bardzo zresztą skomplikowany. Następnie wykorzystując a najnowsze publikacje opracowali wiosną ub. r. nowy projekt i zabrali się do jego wykonania.

Sukces wrocławian jest niewątpliwy. Tu zrodziła się wszak inicjatywa, tu powstały wszystkie elementy projektu, tu zapewniono im nienaganną realizację. Pracowali przy tym bez żadnych specjalnych dotacji, mając do dyspozycji tylko skromne fundusze uczelni. Urządzenie zaprojektowano z pewną rezerwą, mianowicie rama inwarowa sporządzona ze specjalnego stopu stali niewrażliwego na temperaturę (nowość wprowadzona w Polsce dopiero przez wrocławian) umożliwia wmontowanie równolegle drugiej lampy wyładowczej (także po raz pierwszy w Polsce) i porównanie pracy dwóch laserów działających w zbliżonych warunkach. Rókuje to dobre nadzieje zamierzonym pracom badawczym, z natury rzeczy bowiem powiększa ich możliwy zakres. Jednym z pierwszych eksperymentów z laserem wrocławskim ma być przeniesienie dźwięku właśnie przy pomocy komórki Kerra.

Nie ma dwóch zdań co do tego, że skonstruowanie we Wrocławiu lasera własnego pomysłu akcentuje raz jeszcze wysoką rangę stolicy Dolnego Śląsku jako środowiska aktywnej myśli naukowej i technicznej. Oczywiście stąd jeszcze daleko do czołowych osiągnięć techniki laserowej w świecie, ale każdy krok naprzód w tej dziedzinie jest w warunkach polskich prawdziwym wydarzeniem.

Lasery otwierają wielkie perspektywy praktycznych zastosowań. Wolno już dzisiaj przypuszczać, że spowodują one w technice przewrót nie mniejszy, a może i większy od tego, jaki wywołało odkrycie półprzewodników czy skonstruowanie pierwszej elektronowej maszyny matematycznej.

IGNACY RUTKIEWICZ



Zamek Biskupi z XIV w. w Lidzbarku Warmińskim.

LEK PRZECIW OSPIE

W tych dniach w czasopiśmie "Lancet", organie lekarzy brytyjskich, ukazał się artykuł o nowym leku, który — "może okazać się lepszy i skuteczniejszy w szybkim opanowaniu epidemii ospy, niż szczepionka".

Lek opracowany został w 1957 r. przez zespół naukowców z fundacji "Wellcome Foundation" przy współpracy dr. P. W. Sadlera z Instytutu Biochemii w Londynie. Otrzymał nazwę B. W. 33-T-57. Wyniki dotychczasowych doświadczeń określono jako znakomite. Świadczą one, że lek działa zapobiegawczo, daje pełną ochronę przed ospą. Ponieważ ospa jest chorobą wirusową, nowy środek — cytujemy za "Lancetem" — otwiera nowe możliwości w leczeniu chorób wirusowych, dotychczas nie poddających się lekom.

W czasie wybuchu ospy w Madrasie (India) pomiędzy lutym 1963 a lipcem podano nowy lek 1.100 osobom, które przebywały w bliskiej styczności z tymi, co zachorowali na ospę. Zanożowano tylko 3 przypadki — lekkie — zachorowań, przy tym w dwóch przypadkach te właśnie osoby otrzymały niepełne dawki leku. Taką samą liczbę osób, które też stykały się z ludźmi zakażonymi ospą, zaszczepiono. W tej grupie zarejestrowano 76 zachorowań, w tym 12 śmiertelnych.

"Jeżeli dalsze doświadczenia będą równie pomyślne, nowy lek można będzie uznać za jedno z największych osiągnięć w walce z ospą od czasu odkrycia szczepionki przez Jennera w 1796 r." ("Lancet").

Nowy lek zdaje się przewyższać szczepionkę pod innym jeszcze względem. Osoby, którym go podawano w Madras, przebywały w bliskim kontakcie z zakażonymi aż do zabrania tych ostatnich do szpitala. Niejedna więc z osób, zażywających ów lek, musiała znajdować się w okresie inkubacji zarazków ospy. Znaczyliby to, że lek zahamował rozwój choroby, że działa leczniczo, ochronnie nawet wtedy, kiedy podawany jest bardzo późno — już w okresie inkubacji choroby. Szczepienie byłoby w takich przypadkach bezskuteczne. I to właśnie jest najbardziej cenną zaletą leku.

Nowy lek jest syntetycznym środkiem chemicznym. Podawany jest doustnie, co znakomicie upraszcza jednoczesną ochronę wielkiej liczby osób.

(K. M.)



PODRÓŻE — PRZYGODA — PODRÓŻE —

SALONIKI — DRUGA STOLICA CESARSTWA BIZANTYŃSKIEGO

W poleconym przez młodego żołnierza hotelu "Rex" nie ma miejsca, więc każemy się wiesić taksówkarzowi do innego najbliższego. Lokujemy się w niedużym i niedrogim hoteliku. Jesteśmy tak przemęczeni podróżą z Konstantynopola do Salonik, że nie chcemy nam się szukać czegoś wygodniejszego. Mój towarzysz, Anglik, z którym zawarłem "gentleman's agreement" (za to, że pojechałem z nim pociągami z Turcji do Grecji, a zrezygnowałem z zakupionego już powrotnego biletu okrętem, miał zatrzymać się ze mną w Salonikach dwa lub trzy dni, by mieć okazję zwiedzenia miasta), okazał się nie dżentelmenem, gdyż zaraz po przyjeździe do hotelu, stanowczo oświadczył, że już jutro rano wyjeżdża do Aten.

Jak powiedział tak też zrobił; ale może i lepiej się stało, że stary rzęda pojechał, bo teraz jestem swobodniejszy i nie zależny od człowieka, który w czasie całej podróży szukał po świecie całkiem czego innego, niż ja; gdy ja się interesowałem zabytkami przeszłości i historią krainy Hellenów, on uganiał raczej za "miłością platońską".

SALONIKI:

Miasto leży u podnóża dość wysokich gór, które w tym miejscu łagodnie opadają ku morzu i przemieniają się w łagodne pagórki; te w tle, na dalekim horyzoncie są olbrzymie, pokryte białą płachtą śniegu. W dole, pod miastem, a raczej u jego białych kamiennych stóp, modrzy się morze Egejskie. Moło dzieli port handlowy od wojennego. Wód zatoki strzeże stara wieża-basza, zwana białą. Na jej tle robię zdjęcie; pierwsze w czasie mojej, już tak długiej podróży.

Krętymi schodami wchodzi się na szczyt wieży. Tuż przed szczytem, w malej wnęce wybitej w grubym murze umieszczono małą kapliczkę; przed ikoną Matki Boskiej pali się mała, migotliwa lampka. Na podłodze dogasa z sykiem kilka świec, które zapalił jakiś pobożny turysta.

Widok ze szczytu wieży cudowny: stare miasto o ścianach ciemnych, a dachach do-

mów czerwonych, rozsiadło się na pagórkach, zaś nowe, o domach białych, ale dachach równie czerwonych — nad samą wodą. Na wodach zatoki — rojno. W porcie handlowym wielkie statki pluja ku górze ciężkimi kłębam dymu. Od czasu do czasu ciszę przerywa ostry dźwięk syreny.

Tak, jak biała wieża strzeże samego portu i nowego miasta, nad starym miastem czuwa, ulokowany na wysokim wzgórzu stary zamek, który, jak mi to ktoś tłumaczy, przebudowano i zamieniono na prawosławny klasztor.

Saloniki mają przeszłość i bujną i sławną. Miasto przeszło 2000 lat istniejące, było kiedyś, po Konstantynopolu, drugą stolicą cesarstwa wschodnio-rzymskiego, czyli bizantyńskiego. Było ośrodkiem nie tylko kulturalnym, ale i duchowym, bo leżało na skrzyżowaniu dwu kultur i dwu światów: — wschodnio-bizantyńskiego i zachodnio-rzymskiego. Z ducha Salonik pozostały raczej bizantyńskie, czego dowodem sławne bazyliki i cerkwie kościoła wschodniego, greckiego.

Saloniki to i pomost rzucony pomiędzy dwie różne epoki: epoka stara to Wschód; epoka nowa to Zachód.

Nowe miasto, odbudowane po ogromnym pożarze jaki miał miejsce w roku 1917, rozwija się szybko, a w nim żyje miasto stare, które, ze swymi wąskimi, kamiennymi uliczkami, zachowało swój wschodnio-bizantyński charakter. Bazary i stragany, pełne różnokolorowych dywanów patrzą się i uśmiechają do przechodnia; a z małych cukierni dochodzi miły zapach ciastek, mieszkający się z mniej przyjemnym zapachem ryb i innych specjałów morskich.

Ramię w ramię małe sklepiki, prawie że dotykają kamiennymi lub drewnianymi ramionami ogromnych, luksusowych hoteli i restauracji; — pałaców starych i nowych, wielkich kamienic i gmachów publicznych.

Ale wrócić by należało, choć na chwilę, do świata wschodniego i jego historycznych i architektonicznych zabytków, których jest tu wiele:

Bazylika św. Dymitriusza z X wieku, posiada aż pięć naw. Zbudowano ją na miejscu, gdzie, według tradycji, miał zostać umęczony św. Dymitriosz, patron Salonik. Pod bazyliką znajdują się łaźnie wzniesione przez Rzymian, a zachowane do dziś.

Bazylika św. Zofii, zwana też Małą św. Zofią, bo stworzona na wzór tej z Konstantynopola w XIII wieku jest czystym zabytkiem budownictwa bizantyńskiego z tego okresu. (Zaplanowana według krzyża greckiego). Ma ona piękne mozaiki z wieku XIV.

Kościół św. Chalkeona z XI wieku. Mieści się w nim grobowiec założyciela Christoforosa, który był wysokim urzędnikiem cesarstwa Bizantyńskiego.

Kościół św. Ekaterini, zbudowany też na wzór krzyża greckiego, pochodzi z wieku XIII, a kościół Świętych Apostołów wznosił patriarcha Nifon, w latach 1312 - 1315. Szczyty się mozaikami i freskami z okresu cesarzy Paleologów.

Ze starszych do wymienionych kościołów należy wspomnieć Rotundę lub kościół św. Jerzego. Była to kiedyś budowla rzymska, z około 300 roku po Chrystusie, którą zamieniono na kościół w wieku V-tym. Posiada najstarsze w Salonikach mozaiki, których prawniki sięgają okresu hellenistycznego.



Saloniki. Kościół św. Katarzyny.

Bazylika Acheiropoietos ma trzy nawy. Zbudowana w wieku V-tym, była przez długi czas głównym kościołem Salonik; w r. 1430 Turcy zamienili ją na meczet.

Z piątego wieku pochodzi też kościół Dawida, którego piękne mozaiki przedstawiają widzenie proroka Ezechiela.

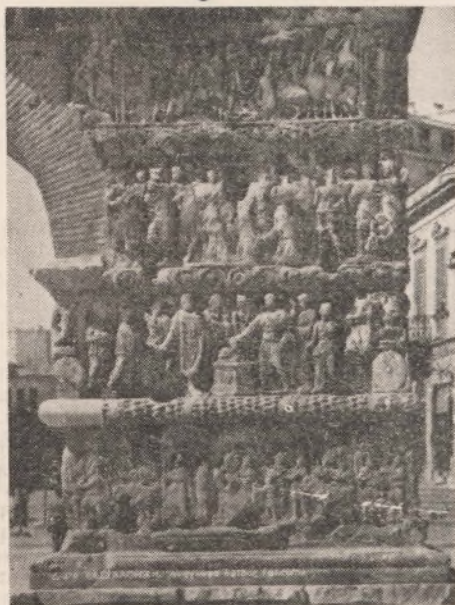
Zabytkiem, z którego Saloniki są dumne, jest Łuk Galeriusza, cesarza, wzniesiony przed około r. 297, na upamiętnienie jego zwycięstwa w Azji Mniejszej. Dochowany w dość dobrym stanie, stanowi imponujący zabytek przeszłości, nie mniejszy, niż Łuk Tytusa lub Septimiusza Severa w Rzymie.

To tylko zabytki najważniejsze jakie można zobaczyć w Salonikach, bo jest ich tu o wiele więcej; wyliczam tylko te najważniejsze.

Cesarzowie wschodnio-rzymscy, gdy zamieszki kazali im opuścić chwilowo nadborską stolicę, przybywali tu i mieszkali, dając miasto hojnymi przywilejami. Dziś, Saloniki, drugie co do wielkości (po Atenach) miasto Grecji, a stolica Macedonii, mające około 300 tysięcy mieszkańców jest ważnym portem morskim. Rozwinął się tu przemysł stoczniowy, włókienniczy, spożywczy i skórzaný. Jest to ważny punkt kolejowy, morski i lotniczy, obsługujący całe Bałkany, jedna z drogowych pereł, którymi natura obdarzyła pobrzeże morza Śródziemnego. W dole spokojna zatoka, a w niej odbija się wysokie, błękitne, greckie, czyste niebo; niebo, które niejednemu już, dało natchnienie.

PAWEŁ LYSEK

Ruiny XVI-wiecznego zamku w Ogrodzieńcu koło Zawiercia (woj. kieleckie), malowniczo usytuowane wśród wapiennych skał zwanych ostańcami, ściągają licznych turystów.



Piaskorzeźba na Bramie Tryumfalnej Cesarza Galeriusza.



GRAND CHERMOZ

Po kilku dalszych wspinaczkach, m. in. na Aiq. du Géant i Aiq. du Midi, postanowiliśmy zaatakować wraz z Witkiem na zakończenie sezonu alpejskiego wspaniałą, lodową, niezwykle stromą północną ścianę Grand Chermoz, przebytą pierwszy raz przez słynnego alpinistę niemieckiego Welzenbacha (Welzenbach zginął w Himalajach w burzy śnieżnej podczas oduratu z Nanga Parbat).

Kiedy przedstawiliśmy nasz projekt nieocenionemu René Ferlet'owi ten w odpowiedzi puknął się tylko w czoło.

— Nawet gdybyście mieli stalowe parasole nie zdołacie przejść tej ściany, bo lodowe lawiny lecą bez przerwy. Oglądałem ją kilka dni temu i wierzę mi, że nie ma 5 proc. szans na wyjście z tej ściany żywym. Spróbujcie lepiej drogi od północnego wschodu t. zw. granią Republiki. To droga równie trudna, mająca zaledwie dwa powtórzenia, a znacznie bezpieczniejsza w obecnych warunkach, nie narażona na obstrzał lodem i kamienieniami.

Nawet nie próbowaliśmy dyskusji. Rada tak doświadczonych alpinistów była cenna i jak potem zobaczyliśmy słuszna.

Starym szlakiem i zwyciężając t. zn. kolejną zębatą do Montenvers wybraliśmy się wczesnym popołudniem z zamiarem zanocowania w "utwierdzonym biwaku" Tour Rouge, gdzieś we wschodniej ścianie Grand Chermoz. Opuściliśmy wygodny lodowiec, weszli na kamienne rumowiska, potem na skałę i rozpoczęli normalną wspinaczkę w kierunku zawieszonych wysoko w ścianie drewnajęcej cztery osoby, przyczepiona drutem.

W pewnej chwili prowadzący Witek zawołał do mnie:

— Takiego dojścia do schroniska to jeszcze nie widziałem. Dawaj no haki, bo tu bez haka ani rusz.

Już o zmroku ok. 7 wieczór dobrnęliśmy wreszcie do celu, nie mogąc się cały czas nadziwić, że dojście do schroniska może być takie trudne, wymagające wysokich kwalifikacji alpinistycznych. To co ujrzelśmy trudno było nazwać schroniskiem. Była to bowiem drewniana budka mogąca pomieścić najwyżej cztery osoby, przyczepiona drutem do skalnej ściany. Obejście domku z jednej strony na drugą odbywało się pod wielkim strachem, w zupełnej ekspozycji, a jedynym pewnym chwytem była drewniana belka, na której stało schronisko. W domku zastaliśmy samotnego Francuza niezbyt towarzysko nastawionego. Toteż konwersacja ograniczyła się jedynie do uprzejmego pozdrowienia. Bardzo podobano nam się zaopatrzenie schroniska. Cztery koce, pralin benzynowy, budzik i... skarbonka na pieniądze, które należało zostawić po przespanej nocy. Na ścianie przyklejony był cennik.

Przed świtem byliśmy w ścianie. Wejście na grani wymagało ok. dwóch godzin wspinaczki w poprzek ściany trawiastymi to znów skalnymi półkami, kominkami i rysami. Gdy jednak stanęliśmy już na grani i ujrzelśmy spiętrzone nad głowami lite bloki granitowe byliśmy zachwyceni przede wszystkim rodzajem skały. Dotychczas spotykaliśmy się ze zwietrzałą i kruchą skałą, która dosłownie wysypywała się spod nóg, a całe ogromne bloki wagi setek kilogramów leciały z łoskotem w dół. Często dziwiliśmy się, szczególnie na graniach Jorassów, jak te góry w ogóle jeszcze stoją skoro tak łatwo się rozsypują.

Tu było odurotne. Gruboziarnisty granit był tak szorstki, że w gumowych pantofelkach stało się pewnie na bardzo nachylnych płytach, a chwył — jeśli już był — to można było powiesić na nim lokomotywę.

Aż pod spiętrzenie Iglicy Republiki, tkwiącej w grani jak jakaś szklana góra, szliśmy

jak w transie. Wyciąg za wyciągiem liny prawie pionowymi rysami zdobywaliśmy wysokość. Skała trudności rosta. Trudne, bardzo trudne, nadzwyczaj trudne, nie sprawiało nam różnicy. Byliśmy w pełni formy, w gwarze górskiej "dobrze rozkręceni". Do dość lapidarnego opisu drogi, dodanego przez Ferleta, nie zaglądaliśmy prawie. Droga sama się narzucała, instynkt alpinisty nie zawodził.

Dopiero gdy w miejscu, z którego zdawało się nie ma wyjścia, przypomnieliśmy sobie, że trzeba zjechać ok. 30 metrów na linie, a następnie wisząc na niej zrobić wahadło na zupełnie pionowej ścianie, aby osiągnąć ok. 20 metrów w lewo — zaczęliśmy mieć wątpliwości.

"Nie, na latanie w powietrzu kilkaset metrów nad piargami nikt nas nie nabierze". To co inni zrobili za pomocą liny my spróbujemy zrobić klasycznie to zn. przejść po skałę ok. 20 metrów w lewo i osiągnąć widoczny początek wąskiego zacięcia. Na wysokości, na której znajdowaliśmy się, zauważyliśmy wąskie pęknięcie, w którym jednak z niejakim trudem mieściły się dłonie.

Witek zostawił plecak i czekan i ruszył pierwszy. Kiedy był ok. 8-10 metrów ode mnie zrobił ruch jakby chciał wbić w szczelinę hak, zawahał się chwilę, charakterystycznym ruchem "otrząpał" rękę — znałem ten ruch, wiedziałem, że chwycił go kurcz — poczem ruszył dalej.

— Bij haki — zawołałem — jesteś już daleko!

Nie odpowiedział. Z widocznym natomiast pośpiechem zbliżał się do rysy balansując jak cyrkowiec na rękach. Czekając jeszcze dobrą chwilę zanim, będąc już w rysie, odeszwał się. Nie wyjaśniał nic, tylko powiedział: — Nie wahaj się i nie zastanawiaj. Idź jak możesz najszybciej.

Tak wziąłem sobie do serca jego słowa, że w pośpiechu nie przestałem mu na linie plecaka i czekana tylko z pełnym obciążeniem rozpocząłem trawers. Dopóki, trzymając dłonie w szczelinie, odpychałem się stopami od pionowej ściany — uszyszko szło względnie dobrze, aczkolwiek zdawałem sobie sprawę, że słabną z każdą chwilą. Jakaś część własnego ciężaru przenosiła się na nogi. Kiedy jednak znalazłem się ok. 10 metrów od towarzysza ściana pod nogami stała się podcięta i nogi, nie znajdując oparcia, balansowały w powietrzu. Usiłowałem podciągnąć się na rękach, lecz czułem, że to wysiłek daremny — ręce rozginały się wbrew mojej woli. Przekonałem się wtedy jak silne jest umiłowanie życia.

Pamiętam błysk świadomości.

— Jeśli się puszcze polecę ok. 10 metrów, potem poczuje lekkie szarpnięcie urywającej się liny — nie ma mowy, aby taki upadek wytrzymała — a potem czeka mnie jeszcze 200-300 metrów lotu w powietrzu, aż do skał podę mną".

Pamiętam jeszcze wysiłek, w wyniku którego w ciągu sekundy pot popłynął mi strumieniami po twarzy, poczem straciłem wszelką świadomość i pamięć.

Kiedy odzyskałem przytomność nie bardzo wiedziałem gdzie jestem i co się stało. Widziałem zarysy twarzy towarzysza i nyszę, w której dość wygodnie stałem. Byłem podobno blady jak papier. Czułem kapiącą na moje buty krew. Dopiero, gdy wyprostowałem palce, znalazłem przyczynę. Dłonie miałem poprzecinane w poprzek, a w ranie tkwiły kawałki granitu. Dziesięć metrów, dzielące mnie od Witka, przeszedłem na rękach nie zdając sobie z tego sprawy, ani z bólu jaki niewątpliwie sprawiały ostre kawałki granitu rozcinające dłonie.



Na ścianie.

— Teraz się nie dziwisz, że nie білем haków — powiedział Witek. — Gdybym się zatrzymał chwilę nie doszedłbym do końca trawersu.

Po krótkim odpoczynku ruszyliśmy dalej. Było już znacznie łatwiej. Szeregi "żandarmerów", tworzących grani omijałymi to z lewej to z prawej strony.

Potem wierzchołek, dość trudne zejście po skałę i lodowiec. Tu rozpoczęły się kłopoty na nowo. Aby nie obciążać się zbyt ciężko wzięliśmy z sobą tylko jeden czekan i jedną parę raków. Gdy ostatni odcinek, dzielący nas od lodowca, pokonaliśmy zjazdem na linie, nota bene wykorzystując znaną starą cieniową pętlę, która — do tej pory się dziwię — dla czego się nie urwała i stanęliśmy na stromym lodowcu, pojechałem natychmiast jak na rozbiegu skoczni narciarskiej. Szczęśliwie byłem związany z towarzyszem, który miał na nogach raki, a w rękę czekan. Dalsza droga lodowcem dla postronnego obserwatora wyglądałaby pocieszenie. Z tyłu szedł Witek trzymając mnie krótko na linie, przodem — w gumowych pantoflach — ja, wywijający raz po raz koziołki na śliskim lodzie.

Dotarliśmy wreszcie do granicy lasu i weszli na ścieżkę. Niżej i niżej zbiegaliśmy kilometry w stronę Montenvers, w stronę Chamonix. Nazajutrz wieczorem mieliśmy już opuścić Alpy.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Pachniało cudownie świeżą trawą i lasem.

JERZY PIOTROWSKI

PP. informuje:

Prawie trzy tysiące nowych szkół. W ciągu ostatnich pięciu lat wybudowano w Polsce 2.891 szkół, w tym z funduszy społecznych 734 szkoły Tysiąclecia.

Mazowsze zawita do Brazylii. Zespół "Mazowsza" wyjechał 21 grudnia ub. r. do Stanów Zjednoczonych i Kanady, gdzie da ok. 80 koncertów w ciągu trzynastotygodniowego tournée. Następnie — trzy tygodnie występów w Meksyku, dwutygodniowe tournée po Kolumbii, Ekwadorze i Peru, wreszcie około pięcioletniowy pobyt w Brazylii, Argentynie i Urugwaju. Jak z tego wynika powinniśmy powitać "Mazowsze" w Brazylii w maju. Będzie to największe wydarzenie artystyczne w dziejach naszej kolonii w Brazylii.



Lygia Fagundes Telles

MALEC

Usiadł na taborecie, łokcie wbił w kolana, brodę oparł na dłoniach i zaczął przyglądać się matce. Teraz czesała włosy, włosy bardzo jasne i krótkie, których pierścienie zdawały się wyprostowywać pod każdym pociągnięciem szczotki, by potem powoli wracać do poprzedniego stanu. Zaczesała ją do tyłu, powoli i z pewną pieczołowitością.

Położyła szczotkę, po czym wciąż zwrócona do lustra, sięgnęła po flakon perfum. Zwiliżyła czubki palców, muszle uszu i na ostatku pokropiła koronkową chusteczkę, którą zatknęła sobie za dekolt.

Spojrzała na małego i uśmiechnęła się. I on uśmiechnął się. Była śliczna, śliczna, śliczna. W całej dzielnicy nie było drugiej takiej ślicznej.

— Ile ty masz lat mamusiu?

— A to co za pytanie! Bo ja wiem ile, ze dwadzieścia dziewięć, trzydzieści, coś koło tego, skarbie, coś koło tego.

Podala mu flakon.

— Chcesz i ty?

— Mężczyzna się nie perfumuje.

— Mężczyzna, mężczyzna... — przechyliła się, by go głośno ucałować.

— Ty jesteś dzidziusiem, słyszysz? Moim dzidziusiem.

Mały wtulił głowę w jej pachnącą szyję. No, chytka. Gdy nikt nie patrzył, uważał za coś cudownego być tak tulonym, jak małe dziecko. Oczywiście — nie mogło być nikogo przy tym.

— A teraz chodźmy, bo seans zaczyna się punktualnie o ósmej — oznajmiła, poprawiając w pośpiechu wargi pomadką.

Mały aż krzyknął z radości. Siadł okradkiem na poręcz i zjechał w dół, gdzie czekała na matkę. W drzwiach słyszał, jak przykazywała służącej by ta powtórzyła panu doktorowi, że oboje poszli do kina.

Na ulicy szedł mocnym krokiem, z wysoko podniesionym podbródkiem i błyszczącymi oczami. To było cudowne iść tak z matką, trzymając ją za rękę. Lepiej, że ojciec nie szedł z nimi, tak to on był kawalerem mamusi. Gdy dorośnie, ożeni się z dziewczynką podobną do niej. Anita nie nadaje się, jest piegowata. Ani Inez z tymi wystającymi zębami. Musi być taka samiusienka, jak mamusia.

— Uważasz, że Inez jest ładna, mamusiu?

— Ładniutka, owszem. Dlaczego pytasz?

— A bo z tymi zębami...

Kopnął kamyczek. Nie, musiała być taka, jak mamusia, taka samiusienka. Przechodząc koło bramy domu Julka, zobaczył przyjaciela, rozmawiającego z koleżkami. Zależało mu na tym, żeby się ukłonić. Wtedy wszyscy się odwrócili, żeby na niego spojrzeć i — oniemieli. Patrzcie, — to moja matka — miał ochotę krzyknąć w ich stronę. Nikt z was nie ma tak ładnej mamusi.

Przypominał sobie z rozkosznym zadowoleniem, że matka Julka była wielką babą, zawsze w rannych pantoflach i że teraz Julek na pewno zżymał się z zazdrości.

— Mamo, na jaki film idziemy?

— Nie wiem, kochanie.

— Jak to? Nie zajrzałaś do gazety? Jeżeli to film o miłości, to ja nie chcę. Ale, żeś nie zajrzała do gazety! Co, mamusiu?

Nie odpowiedziała. Szła teraz tak szybko, że musiał nieraz dać susa, by jej dorównać. Gdy szli do progu kina, dyszał zasapany, ale kolory na jego buzi były ze szczęśliwości.

W poczekalni nie było nikogo. Matka kupiła bilety, po czym wszystkich jej pośpiech jakby pierzchił, bo oparła się spokojnie o filar, żeby czytać program.

Pociągnął ją za sukienkę.

— Mamo, co ty robisz? Już się zaczęło, chodźmy, przecież wszyscy weszli do środka.

Nachyliła się ku niemu. Mówiła tonem bardzo łagodnym ale zaciskające się wargi miały słowa, i oczy miały ten dziwny wyraz, który tak dobrze znał. Nigdy nie unosiła się. Nigdy nie krzesała. Ale on wiedział, że gdy tak mówiła, jak teraz właśnie, to nie pomagały ni prośby, ni łzy, by zmusić ją do odwrotu.

— Wiem, że już się zaczęło, ale nie wejdzmy jeszcze, zrozumiałeś? Jeszcze nie wejdzmy, poczekaj.

Wsadził ręce do kieszeni, oparł brodę na piersi i ze złością kopnął pudełko zapalek, leżące na podłodze. A to ci wyspa. Dlaczego nie weszli od razu? To po to tak biegła? Żeby tak stać oparta o kolumnę i czytać program. Po to?

— Idź do bufetu kupić cukierków — rozkazała nerwowo, podając mu zmity banknot.

Przeszedł przez poczekalnię, jak popychany, kopiąc napotykaną po drodze niedopałki. Kiedy indziej — pobiegłby. Ale teraz nie chciało mu się cukierków, chciał wejść za tę zasłonę z czerwonego aksamitu. Słyszał muzykę idącą z wewnątrz i to go jeszcze bardziej rozdrażniało. Film napewno już się zaczął i on nic nie rozumie, nic a nic! Zwłaszcza gdy film jest zbrodnią. Też! Ale dla czego matka nie chciała wejść, dlaczego?

Obojętnie poprosił o tabliczkę czekolady i tubkę cytrynowych dropsów. W chwili gdy wydawano mu resztę pieniędzy, usłyszał za sobą szybkie kroki matki. Wyglądało na to, że znów jej się śpieszyło. Pewnie będzie chciała stąd pójść — pomyślał, patrząc na nią błagalnie. Wyciągnął ku niej rękę, pociągnęła go z niecierpliwością.

— Chodź, kochanie, wejdzmy teraz.

Jednym susem znalazł się koło niej i kurczowo ścisnął jej dłoń.

— I prędko, mamusiu, przecież film już się zaczął, nie słyszysz muzyki?

W ciemności widowni przystanęli przez chwilę nieruchomo. Wtedy zdecydowała nagle:

— Idź za mną.

Dał się prowadzić. Właśnie wychodziła grupa ludzi i przez chwilę chłopak znalazł się w sieci nóg, zamykających mu drogę. Ale mocna i stanowcza dłoń matki wyprowadziła go energicznie. I znów poczuł się wolny.

— Widziałas, mamo? Porwali mnie za sotą — skarżył się zdyszany, przybliżając się jeszcze bardziej do niej, pełen wdzięczności — gdyby nie ty...

W kinie było mało ludzi.

— Tam, mamusiu, są dwa miejsca wolne, chodźmy tam — wskazał puste fotele.

Ale ona patrzyła to w jedną, to w drugą stronę, nic nie postanawiając.

— Mamo, tu są dwa miejsca, widzisz? — nalegał już zafrasowany, bo film się zaczął a on tak chodząc to tu, to tam nie mógł odczytywać napisów.

A ona jakby nie słyszała. Zbliżyła się aż do pierwszych rzędów, potem zawróciła i zatrzymała się w połowie przejścia i dopiero po zastanowieniu się wybrała miejsca.

— Wejdz tam — szepnęła, kierując nim łagodnie, ale stanowczo.

— Przepraszam... przepraszam... mówił posuwając się waskim przejściem między rzędami foteli. Zatrzymał się przed dwoma nie zajętymi miejscami i usiadł na jednym z nich.

— Tu, mamusiu?

— Nie, kochanie, tam dalej — posunęła się naprzód, wskazując trzy wolne miejsca prawie przy końcu rzędu.

Podniósł się, burcząc pod nosem, znów parę razy powiedział "przepraszam" i głośno westchnąwszy, osunął się ociężale na pierwsze z trzech wskazanych miejsc. Ona usiadła po nim.

Malec przysiadł na brzeжку fotelu, wyciągnął szyję, spojrzał w lewo, w prawo, pokręcił się i zaczął narzekać płaczliwym głosem.

— Nic nie widzę, mamo. Zamień się ze mną, bo nic nie mogę zobaczyć. Uszczypnęła go z lekka w ramię. Doskonale znał ten gest, oznaczał zaledwie: nie upieraj się!

— Ależ, mamusiu...

Nachyliła się ku niemu i zaczęła mówić cichutko ale tym niebezpiecznym tonem, jakim zwykła była karcić go za wdrapywanie się po murze albo za to, że wymknął się z domu, by grać w piłkę na ulicy. Ton jej był tak łagodny, że gdyby ktoś podsłuchiwał, mógłby sądzić, że chwali syna. Tylko on wiedział co się kryło pod tą łagodnością.

— Nie chcę, byś zmienił miejsce, słyszysz, co mówię? Nie chcę, kochanie, nie chcę. I nie upieraj się więcej.

Powstrzymując się, by nie kopnąć fotelu przed nim, poburczał dotknięty. To wszystko wydawało mu się mocno niesprawiedliwe. Dlaczego matka mówiła w ten sposób? Nic złego nie zrobił, chciał

tylko zmienić miejsce, tylko to... Nie, tym razem, nie okazała się kumplem, ni trochę. I gdy jeszcze raz miał ją poprosić, by pozwoliła usiąść z jej drugiej strony, wszedł jakiś mężczyzna i zajął owo miejsce.

Chłopak westchnął niepokieszony. No, tak! Teraz już naprawdę nie było nadziei. I ten film o miłości i owych dwoje z ekranu, patrzących na siebie słodkimi oczami... No i dlaczego facet nie wybierze się już raz na tę wojnę. Ale wpadł!... I ta głowa kobiety naprzeciwko, jakby coraz to większa i te włosy usztywnione, które unoszą się na tle ekranu, sprawiały wrażenie sieci pajaka. Jedno ze sterujących pasm tworzyło rodzaj grzywki, sięgającej brody artystki.

Malec roześmiał się.

— Mam, ja stąd widzę pannę ze szpicbródką!

— Nie mów tak, kochanie, kiedy film jest smutny — łagodnie poprosiła matka. Pewnie uśmiechała się przy tym i mówiła tonem, który uwielbiał. Ach, jak to dobrze! Matka nie była już zdenerwowana. Poczł, jak gorąca fala ogarniała mu serce. Ku jeszcze większej radości, pani z fotela naprzeciw podniosła się i wyszła. Oczom jego ukazał się cały prostokąt ekranu. O, teraz tak! Żeby tylko nikt nie zechciał zająć miejsca przed nim, to byłoby naprawdę cudnie.

Rozwinął tabliczkę czekolady i całą włożył do ust. Następnie zwrócił się do matki, by ją poczęstować pastylkami. I wtedy zobaczył: mała i biała rączka, bardzo biała ześlizgnęła się powoli wzdłuż poręczki fotela i oparła się na kolanach mężczyzny, tego samego, który niedawno wszedł.

Przeglądał się temu tępo, bezmyślnie, zdębially. Dlaczego matka to robiła? Dlaczego?... Teraz wielkie i ciemne ręce mężczyzny uchwyciły żądnie małą i białą dłoń i uściśnęły z taką siłą, jak gdyby chciały ją zgnieść.

Malcem wstrząsnęło. Poczł rozpaczliwe bicie serca, takie same, jak wtedy na *Janendzie*, kiedy musiał, jak szalony uciekać przed gonącym go bykiem. Przerażenie osuszyło mu wargi. Czekolada w ustach zamieniła się w lepką i gorzką masę. Okragłe i znieruchomiałe oczy wbił w ekran.

Obrazy poruszały się bez sensu, siepiąc się, jak we śnie. Napisy pisały. Ale chłopak trwał w bezruchu, patrząc uparcie przed siebie, nie mogąc oderwać się od czarnobiałego prostokąta, na którym inne prawdziwe obrazy gmatwały się z owymi zniekształconymi. Skrawki zdań, scen, gestów — wszelkie wydarzenia ostatnich godzin układały się, łączyły, nabierając znaczenia, jak w grze zwanej "puzzle". Niewinne zdania, niewinne ruchy, wszystko składało się na obraz uplanowany z rozmysłem, złośliwy. Obraz dziewczyny śpiewającej na jakimś przyjęciu, został gwałtownie zastąpiony przez inny, wyraźny, potężny obraz matki, perfumującej się przed lustrem, wolniutko wilżąc sobie czubki palców. A potem ów nerwowy pośpiech na ulicy. Mamusi, dlaczego tak biegniesz? Nie nadążę za tobą! A poczekalnia, a to nagłe zatrzymanie się matki pod filarem. Cały ten pośpiech na nic! To nie wejdziesz, mamusi? I ten jej drżący głos, gdy prosiła, by poczekał. Długie szukanie miejsc, jej przechadzanie się po ciemnym korytarzu, owo wyraźne ukazywanie się mężczyźnie na znak, że wolno mu się zbliżyć... I to, co najsilniej utkwiło mu w pamięci, wspomnienie górujące nad wszystkimi innymi: mała, biała dłoń ześlizgująca się w ciemności, niby jakiś zwierzak.

Tymczasem aktor na ekranie zdążył wsiąść do samochodu, który teraz śmigał w ucieczce przed gonącą go policją. Ale wśród rozpaczliwego wycia syreny, uszy malca rozróżniały wyraźnie — choć nie chciał, nie chciał słyszeć — subtelny szept spoza zębów z urywanego dialogu obojga.

Na krótko przed końcem seansu, który zdawał się wlec cały wieczór, podczas gdy cienie za cieniami przesuwały się z jednej strony na drugą — przed samym zapaleniem się świateł wyczuł — więcej — zgadł, że mała i biała dłoń uwolniła się z uścisku ciemnych rąk i cofając się w ten sam sposób, w jaki przed tym posuwała się po poręczki fotela, powróciła do drugiej dłoni, spoczywającej na kolanach. I pozostały tam już złączone, jak przed przyjściem mężczyzny.

— Podobają ci się kochanie? — zapytała mile, nachylając się ku synowi.

Chciał odpowiedzieć, ale nie mógł wydobyć słowa. Przytaknął głową, udając ogromne zaciekawienie końcową sceną. Teraz aktorzy zamieniali omdlewająco długi pocałunek na pożegnanie i w owej chwili podniósł się mężczyzna spowity w tej samej ciemności, wśród której się zjawił. Mały naprężył się: ściągnęły mu się szczęki, dygotał. Zaciśnął pięści:

— Skoczę mu do gardła, zaduszę go.

Wrył wzrok w szerokie ramiona, które przez ułamek chwili zatrzymały się przed nim. Poczł nogę mężczyzny, ocierającą się o jego kolano. Kontakt ten był jak ułknięcie szpilką w balon napełniony powietrzem. Chłopakowi wydało się, że się powalił, skurczył, sflaczał. Tymczasem mężczyzna się oddalił.

Gdy zapaliły się światła, malec spojrział ukradkiem na pustą fotel, potem na matkę. Uśmiechała się z tym samym wyrazem zachwytu, z jakim cesała włosy przed lustrem. Wydawała się bardziej zarumieniona, jaśniejsza.

— Idziemy, synusiu? — powiedziała zapraszająco, biorąc go za rękę.

Malec opuścił głowę. Musiał zdobyć się na okrutny wysiłek, żeby nie splunąć i nie wbić paznokci w to pachnące ciało, jeszcze gorące od dłoni mężczyzny.

— Już nie chcesz trzymać mnie za rękę? — zapytała zasmucona, widząc, jak pod pretekstem, że chciał poprawić skarpetki — wsadził ręce do kieszeni.

— Już nie jestem dzieckiem.

— Aa, to dzidziś wydorósł? Tak? — zawołała śmiejąc się i ucałowała go parę razy.

Nie zdążył wymigać się pocałunkom. Na brodzie i na uszach pozostały ich ślady. Ślady wilgotne, zimne. Zupełnie, jakby przeszły tamtędy owe glizdki, które krajał na kawałki by potem nadziewać na haczyk wędki.

Podczas długiej drogi mówiła bez przerwy, podniecona, komentując treść filmu. On odpowiadał pojedynczymi sylabami.

— Ale co ci jest, synku?

— Zab mnie boli.

— Znowu? Bo uciekasz od dentysty. Czy nie tak?

— A bo ja wiem.

Nachylił się, by podnieść suchy liść. Zgniół go w głębi kieszeni. I odetchnął otwartymi ustami, dusił go ów sekret. Gdyby ludzie wiedzieli, gdyby wiedzieli!

Przed bramą Julka przypomniał sobie wielką i brzydką kobietę, którą kiedyś przedstawił mu zażenowany przyjaciel: moja matka.

A tymczasem, jakby to było dobrze mieć taką matkę. Nosila okulary i bambosze, dlatego Julek się wstydział. Ale Julek nie wiedział... Nikt na świecie nie wiedział...

Kiedy weszli do saloniku, ojciec już siedział w fotelu i czytał gazetę. Jak co wieczór. Jak co wieczór. Mały zatrzymał się w drzwiach. Zbladł. Teraz coś się stanie — pomyślał, nie mając siły, by się zbliżyć. Stanie się coś strasznego.

Ale wszystko odbyło się jak zawsze: ona weszła, zapaliła papierosa, zbliżyła się do męża, powiedziała "dobry wieczór, kochany" i pocałowała go w czoło.

— A więc, mój synu, podobał ci się film? — zapytał ojciec, składając gazetę. Jedną rękę wyciągnął ku małemu, podczas gdy drugą — pogłaskał ramię żony.

— Owszem — szepnął chłopak, opuszczając głowę.

— A ja wątpię. Myślę, że nie — zaprzeczył ojciec, śmiejąc się.

— Nie zrozumiał treści filmu był o miłości i szpiegostwie, diabelnie skomplikowany, co synku?

Chciał powiedzieć: zrozumiałem, owszem, ale nie miał siły. Odwrócił się do okna z oczami pełnymi łez.

— Co z tobą, synu? — zapytał ojciec, podczas gdy matka szła schodami do góry, podśpiewując — wyglądasz, jakbyś zobaczył upióra. Co się stało?

Mały przyglądał mu się przez dłuższą chwilę. To był ojciec. Włosy siwiejące. Twarz brzydka i dołra.

— Tatusiu — szepnął — Tatusiu... — powtórzył ledwo dosłyszalnie.

— Ależ, synku! Co się stało? Mów, co się stało.

— Nic — wybełkotał — nic...

I szlochając objął ojca w długim, mocnym uścisku.

Thum. MIRA CARLA



Jan Parandowski święcił ostatnio 50-lecie pracy pisarskiej. Z tej okazji odbył się w Teatrze Polskim w Warszawie uroczysty wieczór, który zgromadził licznych wielbicieli wybitnego pisarza.

SPOTKANIE W CAATINDZE

Mało uczęszczana drożyna wila się wśród pagórków pokrytych obumarłą roślinnością. Był to ten sam krajobraz, jaki towarzyszył Clodoaldo od opuszczenia engenho Vitória. Jediną odmianę w tej pustyni stanowiło Vale dos Felizes, gdzie jeszcze wegetowało trochę roślinności. Skutki posuchy były straszne i jej ślady spotykał Clodoaldo nie tylko w wygładzie przyrody. Tu i ówdzie na drodze lub w krzakach bieleły szkielety i porozrzucone kości. Kilka ludzkich czerepów, na pół przysypanych piaskiem lecz jeszcze szczerzących zęby nappełniło go przerażeniem. Słyszał za sobą człapanie śmierci. Oglądał się często, szukając niby ludzi; ale był to w istocie strach przed podzieleniem losu osób, których szcłatki oglądał.

Ostatecznie do wszystkiego można przywyknąć — do myśli o śmierci i do myśli o głodzie. Trudniej jednak zwalczyć stale wzrastające pragnienie. Przez jakiś czas próbował ssać kamyk, wygrzebany spod korzeni jakiejś żywicznej rośliny. Później wyciął z mijanego kaktusa kawałek miąższu i zaczął go żuć. Gesty i lepki sok nappełnił go obrzydzeniem, wypłul go więc i włókł się dalej przybity i przygnębiony. Nie wyobrażał sobie, że do Maranduby jest tak daleko. A może zbłądził? Po drodze minął kilka rozdroży. Któż mógł zaręczyć, czy szedł we właściwym kierunku?

Upał się wznagał. Clodoaldo wcisnął się pod ogołocony z liści krzew i w jego skąnym cieniu szukał schronienia przed słońcem. Głowę miał ocieślała, był ogromnie znużony. Zbierało mu się na sen. Bronił się przed nim jak mógł, ale głowa mu opadała, powieki same się zamykały. Miał ochotę rozciągnąć się wygodnie na ziemi i zdrzemnąć, ale powstrzymywała go myśl, że może zapaść w głęboki sen i przespać najdogodniejszą do wędrówki porę. Nie chciał więcej iść po nocy...

Jakiś tajemniczy szelest kazał mu otworzyć oczy i spojrzeć na drogę. Niedaleko znajdował się zakręt i przez chwilę nie widział, dochodził go tylko szmer kroków. Podniecony uniósł się na nogi i niebawem ujrzał długą kolumnę nadciągających ludzi. Był to dziwny pochód, jakiego w życiu jeszcze nie oglądał. Powolnym, wyczerpanym krokiem szli dorośli i dzieci. Kobiety dźwigały niemowlęta, mężczyźni — torby, tłumoki, tykwy, nawet walizki — cały dobytek. Tu i ówdzie między ludźmi płał się pies. Wszyscy wymizerniani, obdarci, zakurzeni. Była to karawana nędzarzy, wlokąca się chyba z jednego krańca Brazylii w drugi. Clodoaldo domyślił się, że ma przed sobą retirantes — uchodźców, ofiary posuchy w caatindze. Ciągnęli przed siebie w nadziei dobrnięcia do miejscowości, gdzieby mogli znaleźć ratunek.

Na przedzie kroczył przygarbiony i siwy kaboklo. Trzymał za rękę ośmioletniego być może chłopczyka o zapadłych policzkach i szeroko rozwartych, jakby zdziwionych oczach. Dalej dreptała utykająca na jedną nogę bezzębna starowina, podpierająca się sękatym kosturem, a za nią kobieta z niemowlęciem, opatulonym ciasno w podarte szmaty; obok podrostek z tłumoczek na plecach, o głupawym wyglądzie, podskakujący od czasu do czasu i nieustannie obracający głowę na wszystkie strony. Później wysypały się z zakrętu i inne cienie nappełniające Clodoalda niesamowitym przerażeniem. Gdyby zobaczył coś podobnego w nocy, pomyślałby że to duchy cementarne.

— Masz wodę?... — zapytał kaboklo po zrównaniu się z Clodoaldem.

— Niestety...

— Choć kropelkę.

— Sam jestem spragniony. Od wczoraj nie miałem nic w ustach.

— Więc dookoła — pustynia?

— Nie spotkałem nikogo.

Oczy kabokla pełne bolesnego wyrazu zawisły na twarzy Clodoalda. Twarz pokryta długim siwiejącym zarostem wyrażała zwątpienie i rozpacz. Chwilę stał niezdeterminowany.

— Nie dla siebie jej potrzebuję, ale dla tego chłopca, który nie ma ojca ani matki i ledwie dżyszy. Spójrz na niego, a napewno ulitujesz się nad jego losem.

Nadciągnęła reszta karawany. Wszyscy podobni byli bardziej do zadętych zwierząt, niż do ludzi. Otoczyli Clodoalda. Obudziła się w nich nadzieja.

— Gdzie woda?

— Kto tu mieszka?

— Którędy do studni?...

Pytania stawały się coraz bardziej natarczywe, niecierpliwe i zuchwałe. Clodoaldo cofnął się o krok, o dwa i rzucił okiem wokoło. Tłum nędzarzy wydał mu się nagle groźniejszy niż sama śmierć. Był to tłum wyczerpany wędrówką, wygłodzony i ledwie zipiący z pragnienia. Taki tłum nie ma

nie do stracenia i zdolny jest do wszystkiego. Jakiś ochrypły głos rozkazał niecierpliwie:

— Nuże, prowadź do osiedla!

— Jakiego osiedla?

— No, tam gdzie mieszkasz. Myślisz, że zwiedzisz nas? Nie będziesz chyba twierdził, że spadłeś z nieba. Mieszkasz niedaleko. Widać to po tobie. Patrzcie jak wygląda: tłusciutki jak pączek. Dobrze mu się powodzi. Prowadź!...

Głos był natarczywy, rozkazujący. Clodoaldo nie ruszał się z miejsca. Był zaskoczony i jednocześnie oburzony. Chętnie by pomógł nieszczęśliwcom, sam jednak znajdował się w krytycznej sytuacji i jemu także by się przydała pomoc. Nagle stara, zasuszona kobiecina, istny szkielet obciągnięty jedynie skórą, dzieliła go kosturem przez plecy.

— O Jezu! Za co? — jęknął z płaczem.

— Prowadź do wody, inaczej zatłuczemy cię jak psa.

— Nigdzie tu wody nie ma. Jestem obcy w tych stronach i sam cierpię. Idę z Vale dos Felizes do Maranduby.

— Z Vale dos Felizes! — zachichotał ktoś ponuro. — Mów to swojej babce! Tam już dawno nie ma nikogo, nawet urubą wymigrowały. Mieszkasz w pobliżu. Prowadź, krzywdy ci nie zrobimy.

Krag się zaciesniał, Clodoaldo widział twarze zacięte, ponure, oczy błyszczące, twarde pięści i zakrzywione jak szpony, kościste palce. Zrozumiał, że żaden skowyt, żadne łzy nie przekonają tych ludzi. Musiał wydostać się z pierścienia i uciec, inaczej gotowi utłuc go na śmierć. Umysł jego pracował gorączkowo. Naraz skurczył się pod nowym ciosem, starucha okładała go bez litości. Zastaniał się rękoma, uchylał, nurkował między ludźmi, szukał przejścia wśród gęsto zwartych nóg. Czyjeś ręce uchwyciły go za kark i przytrzymały w porę.

— Zatłuc ścierwo! Sadybę jego sami znajdziemy!...

— Przestańcie bić! — wrzasnął rozpaczliwie Clodoaldo. — Poprowadź.

Starucha wstrzymała kostur, odsapnęła zadyszana. Wsparta na kij, wpiła w niego malutkie orzechowe oczy i wymamlała z bezzębnych ust:

— Słuchaj, synku, co ci powiem. Mam tu w węzłku parę groszy — jeśli poprowadzisz uczciwie, oddam wszystko. Jeśli skrewisz — sama cię utłukę jak gadzinę. Zrozumiałeś? A teraz prowadź.

— Puśćcie mnie do przodu.

Nędzarze się rozstąpili, Clodoaldo ruszył żwawym krokiem. Mniej był zmęczony niż uchodźcy więc szybko się wydostał na czoło karawany. Obejrzał się dwukrotnie i kiedy stwierdził, że kolumna nie może za nim nadążyć, zaczął raptem biec ile sił w nogach. Buchnął za nim przeraźliwy wrzask:

— Łapcie, trzymajcie szubrawca!

Kilku co zdrowszych i silniejszych mężczyzn rzuciło się w pogoń. Clodoaldo z duszą na ramieniu pędził drogą, tylko kamienie furczały mu spod stóp. Chętnie wpadłby w krzaki, ale obawiał się, że platanina zarośli utrudni mu ucieczkę. Dzikie wrzaski ścigających nappełniały go panicznym strachem. Sądził długimi susami, jak coręca goniona przez psy. Zdawało mu się, że za kilka minut odsadzi się na bezpieczną odległość.

Naraz z zakrętu wypadł jeep i ze zgrzytem hamulców stanął o dwa kroki przed nim. Z wozu wyskoczył człowiek z rewolwerem w rękę i rzucił się na Clodoalda.

— Stój! — wrzasnął.

Chłopak potknął się, upadł, znowu zerwał na nogi. Chciał wyminąć nieznajomego, ten jednak chwycił go za ramię i przytrzymał. Zaczęła się szarpanina. Clodoaldo wydierał się, krzyczał, płakał — nieznajomy nie puszczał. Niebawem nadbiegła ścigająca tłuszcza i otoczyła ich ciasnym kołem.

— Co się stało? — pytał nieznajomy. — Zbrodnia? Kradzież? Gwałt?

Przez chwilę panował taki wrzask, że nie można było zrozumieć. Starucha wymachiwała ponad głowami kosturem i pisała sepleniącym głosem. Clodoaldo wydierał się, kopał i gryzł jak napadnięty psiak.

— Uciszcie się do pioruna! — wrzasnął nieznajomy i wystrzelił dwukrotnie w powietrze.

To poskutkowało — zapadła cisza, ramiona się cofnęły, kostur opadł.

— O co wam chodzi?

Posypały się bezładne odpowiedzi. Trwało chwilę, zanim przybył zrozumieli.

— Chcecie wody, proszę bardzo. Przed chwilą miałem rzeczkę pełną krystalicznej wody. Choćbyście pili do wieczora to jej nie wypijecie. Musicie tylko potrudzić się trochę, jakiegoś pół godzinki. No, na co czekacie? Jazda!

Ludzie nie ruszali się z miejsca. Byli podejrzliwi, nieufni, wietrzyli zasadzkę.

— Poco mamy szukać daleko, kiedy jest tutaj — powiedział stary kaboklo.

Zanim przybył się spostrzegł, nurkował pod samochód



Tatry. Widok z Hali Gąsienicowej na Kozi Wierch i Granaty.

Esporte Universal Ltda.

ARTIGOS PARA TODOS OS ESPORTES
E UNIFORMES PARA COLÉGIOS

Rua Líbero Badaró, 356 — TEL.: 37-5660

Caixa Postal, 4413 SÃO PAULO

i odkręcił kurek od chłodnicy. Podsunął tykwę, do której zaczęła lecieć gorąca woda. Nieznajomy rzucił się na ratunek, ale w tłumie zakotłowało się, odepchnęli go, potoczył się i upadł na kamienie. Podniósł się z trudem i zaczął rozcierać potłuczone kolana i łokcie. Dopuszczono go do samochodu gdy chłodnica była już pusta. Ten i ów jeszcze chleptał gorącą wodę, parząc sobie usta i gardło. Rozległy się przekleństwa, gdyż woda, przesycona zapachem olejów i benzyny, zamiast gasić pragnienie, jeszcze je potęgowała.

— A niech was!... — zawołał człowiek i zaklął w nieznanym nikomu języku.

Clodoaldo zapomniał o niedawnym niebezpieczeństwie, gapił się na nieznajomego z rozdziawioną gębą. Wydał mu się nietutejszy. Był dobrze zbudowany, miał szare oczy i jasne włosy...

— "Côr de palha" — przemknęło mu przez głowę.

Wyczuwało się w nim z daleka cudzoziemca. Ale na pewno nie był to turco, tych bowiem znał dobrze, gdyż zapędzali się często na engenho, kupując drobiazgami. Zresztą nie było się co głowić. Tymczasem karawana zabierała się do odejścia. Wierzyli, że w pobliżu rzeczywiście znajduje się rzeka. Kiedy zniknęli w oddali, nieznajomy odsapnął i rzekł ze złością:

— Możesz kłaść się na drodze i umierać!

— Umierać?... Dlaczego?

— Bo nie możemy ruszyć z miejsca. Motor bez wody nie pójdzie. Znasz te okolice?

— Nie.

— Skąd idziesz i dokąd?

Clodoaldo opowiedział w kilku słowach. Nieznajomy zasępił się. Oparty o stopień jeepa spoglądał tępo przed siebie.

— Mam łopatę — powiedział wreszcie, — pójdziemy kopać. Może znajdziemy wodę. Nie w takich tarapatkach bywałem, ale nigdy nie traciłem nadziei.

Szli rozglądając się bacznie po rzadkich zaroślach.

JAN KRAWCZYK

Ś. P.

WACŁAWA KORWIN

Mikke Gliksmanowa

Dnia 21 lutego br. zmarła w São Paulo ś. p. Wacława Korwin - Mikke Gliksmanowa, żona znanego architekta i przemysłowca inż. Stanisława Ryszarda Gliksmana. Zmarła znana była przede wszystkim z niezwyklej dobroci serca i uczynności. Czarująca i elegancka brała żywy udział w życiu Polonii paulistańskiej. Utrzymywała żywy kontakt z Polską, wspierając ludzi, których sama wyszukiwała jako najbardziej potrzebujących. Wyrazem żalu po Niej było mnóstwo ludzi płaczących na Jej pogrzebie.

Pozostawiła w głębokim smutku męża, oraz w Polsce — brata, bratową, bratanice i bratanka.

Dnia 23 stycznia 1964 roku, po krótkich lecz ciężkich cierpieniach - zmarła w Łodzi, przeżywszy 77 lat

Ś. P.

OLGA BONASEWICZ

Pogrzeb odbył się 27 stycznia 1964 roku na cmentarzu rzymsko-katolickim przy ul. Ogrodowej, o czym zawiadamiają, pogrążeni w smutku

CÓRKA, ZIĘĆ i WNUK w Łodzi oraz SYN i SYNOWA w São Paulo.

Eksperyment prof. Braddocka

Dok. z nr. 37

— Jeżeli się nie mylę proponuje mi pan przekupstwo — zauważył adwokat. — Chyba pan rozumie, że jest to sprzeczne z prawami Zjednoczonego Królestwa i z zasadami wykonywanego przeze mnie zawodu?

— A więc pan odmawia?

Adwokat rozłożył bezradnie ręce.

— Muszę.

Prof. Braddock skinął mu chłodno głową, otworzył cicho drzwi i równie cicho zamknął je za sobą.

Był przybity. Nigdy nie przypuszczał, że będzie miał tyle kłopotów z dokumentami. Łatwiej było, jak się okazuje stworzyć w retorce żywego człowieka, niż zdobyć dla niego papiery. Ważąc się na swój czyn nie przewidział tej przeszkody. Ba, czy to była przeszkoda, czy też raczej fundament, na którym została zbudowana nowoczesna cywilizacja?

W domu wobec Eddy'ego musiał skłamać, że podjął starania o dokumenty i że uzyskanie ich to tylko kwestia czasu. Chłopiec zadławił się tym wyjaśnieniem. Zaabsorbowany był zresztą czym innym. Praca, którą rozpoczął w fabryce trykotaży, pochłaniała go całkowicie. Już po tygodniu sprzedał tyle towaru ile żaden z pozostałych przedstawicieli, a po miesiącu fabrykant powierzył mu generalne przedstawicielstwo.

— Zasypałem cały Londyn swetrami i majtkami z pięćdziesięcioprocentowej wełny z patentowanym ściągaczem błyskawicznym — mówił, śmiejąc się.

Sprawa dokumentów wypłynęła nieoczekiwanie ze zdwojoną siłą w jakiś czas potem.

Pewnego wieczora Eddy wtargnął do laboratorium prof. Braddocka, co mu się nigdy nie zdarzało, nie lubił bowiem tego przybytku.

— Powiem ci wielką nowinę, Willy, — zawołał już od proga.

Profesor, zajęty preparowaniem białego szczura, odwrócił się niechętnie.

— Jeżeli to nie jest takie ważne to może opowiesz mi później. Jak widzisz jestem zajęty.

— Ale to bardzo ważne dla mnie i dla nas obu. Po prostu zareczyłem się.

— Co? — wykrztusił profesor Braddock.

— To co słyszałeś. Prędko, przerwij tę brudną robotę! Ona tu jest i zaraz ją poznasz. Chodź, Nelly, nie bój się. Mój brat tylko tak groźnie wygląda, a w gruncie rzeczy to bardzo porządny chłop. Profesor ledwo zdążył ściągnąć gumowe rękawiczki.

Była to pospolita dziewczyna, jakich wiele widuje się u Woolwortha, gdzie pracowała: blondynka o niebieskich oczach i piegowej buzi, zgrabna. Braddock wyczuwał, że nie musiała być zbyt inteligentna. Ale nie miało to znaczenia, gdyż taka jaka była podobała się Eddy'emu. Można nawet przypuszczać, że ją kochał, albowiem ani na chwilę nie spuszczał z niej oczu.

Zachowywała się zresztą dość kulturalnie, bez owego wygłupiania się, które, zdaniem Braddocka, cechowało współczesną młodzież. Nie razila w towarzystwie zwłaszcza takim, w którym obrał się Eddy — kupców i sprzedawców.

— Kiedy zamierzacie się pobrać?

— O, jak najprędzej! — zawołał Eddy. — Gdy tylko gotowe będą dokumenty. A to już od ciebie zależy, Willy.

Dokumenty! Słowo to stanowiło prawdziwą zmołę dla Braddocka. Poniżył się do tego stopnia, że konferował kilkakrotnie z ciemnymi typami, którzy obiecali wyrobić fałszywe papiery. Ale nawet te podrobione dokumenty trudno było uzyskać, a Eddy stawał się tymczasem z każdym dniem coraz bardziej natarciwy.

Pewnego razu, po obiedzie, wyciągając kapciuch z tytoniem i nabijając fajkę (Braddock nie znoślił dymu tytoniowego, a fajka Eddy'ego doprowadzała go niemal do szału), zauważył:

— A może ja bym zajął się tą sprawą? Nic łatwiejszego, niż pojechać do Bath, gdzie się urodziłem.

— Zabraniam ci! — warknął Braddock.

Twarz mu poczerwieniała, oczy, jak u żaby mało nie wylazły na wierzch (cierpiał na lekki wytrzeszcz spowodowany niedoczynnością tarczycy i wada ta uwypuklała się, gdy był zdenerwowany).

— Tak? — odparł, zapalając fajkę, Eddy. — Otóż muszę ci wyznać, że byłem już w Bath. Nikt tam nie wie o niejakim Edwardzie Braddocku. Ciekaw jestem dlaczego mnie oszukałeś, Willy?

— Więc pojechałeś... bez mojego zezwolenia? — wykrztusił

Braddock. — Och, wiedziałem, że można się tego spodziewać po tobie, ty głupcze!

Eddy odłożył fajkę. Wstał.

— Nie pozwolę się traktować jak dziecko — powiedział. — Już dosyć się nasłuchiwałem niepotrzebnych rzeczy. Wydaje mi się, że jestem dostatecznie dorosły. Zaczęę działać na własną rękę. I przede wszystkim zaraz... natychmiast... wyprowadzam się z tego domu.

Braddock wstał również. Nie mógł ukryć wzburzenia.

— Zabraniam ci, słyszysz. Należysz do mnie, całkowicie, bez reszty. Mam do ciebie większe prawa, niż rodzona matka. Nie waż mi się sprzeciwiać, bo...

Eddy odwrócił się do niego zdumiony.

— Zwariowałeś — powiedział — zwariowałeś...

W tej samej chwili ugodziła go w skroń ciśnięta przez Braddocka ciężka miedziana popielniczka. Zachwiał się i upadł uderzając głową o kant kominka. Na twarzy jego wciąż jeszcze widać było zdumienie.

Dopiero wtedy profesor oprzytomniał. Nachylił się, podniósł bezwładną rękę Eddy'ego, nie mógł się domacać pulsu. Chłopak nie żył.

Braddock przez pewien czas przyglądał mu się z zaciękwieniem. Kukla... Powołał go do życia i zgładził. Eksperyment był skończony. Nie miał żadnych wyrzutów sumienia. Ale co powiedzą ludzie, co powie tak zwana sprawiedliwość? Ba, wyzna prawdę, nie będzie już dłużej robił tajemnicy ze swoich doświadczeń... Niech wiedzą, niech cały świat wie. Wyobrażał sobie co to będzie za bomba!

Podszedł do telefonu, połączył się z komisariatem.

— Tu profesor Braddock. Proszę zaraz przyjechać. Zabiłem człowieka.

Położył mikrofon na widełki i usiadł naprzeciw Eddy'ego. Do diabła, czemuż twarz tego chłopaka jest taka szlachetna i pogodna? Och, nie warto o tym myśleć! Kukla, homunculus... A jednak nie mógł oderwać oczu od Eddy'ego. To tak jak by zabił samego siebie. Czyż to bowiem nie był on sam z czasów młodości zanim nauka nie wysłała z niego człowieczeństwa, nie oderwała od uciech życia?

Zakrył dłońmi twarz, żeby nie patrzeć. Dopiero kołatka u drzwi wejściowych przywołała go do przytomności.

Przyszło ich pięciu: komisarz, trzech policjantów i lekarz. Czy nie za dużo jak na jednego trupa?

— To pański brat? — zapytał komisarz. — Słyszałem, że miał pan brata.

— Brat? Nie... Jest to jak by odzwierciedlenie mnie samego. Od dłuższego czasu prowadzę badania nad odtworzeniem życia. Jak by to panu wytłumaczyć? Wymagało by to długiego wykładu i odpowiedniego przygotowania naukowego. Spróbuję popularnie... To jak by fotografia. Kładłem na anodzie mojej maszyny żywy stwór, np. amebę lub mysz, a na katodzie wszystkie niezbędne składniki organiczne. Po pewnym czasie na katodzie rodziła się świnka morska, albo człowiek... W tym wypadku człowiek, mój sobowtór. Teraz pan rozumie? Ten trup, który pan widzi to właśnie sobowtór. Zabiłem go pod wpływem wzburzenia. Chciał za wiele...

Lekarz, który w czasie tyrady Braddocka, badał Eddy'ego podniósł się z klęczek. Był to elegancki młody człowiek. Miał na sobie smoking, wybierał się bowiem właśnie na proszony obiad, gdy wezwano go na policję.

— Pan go nie zabił, panie profesorze. On umarł na aneryzm serca.

— Ależ to niemożliwe!... Miał doskonałe serce. Czyżby do mojego doświadczenia wkradła się jakaś omyłka? Czekajcie panowie, pójdę na chwilę do laboratorium. Muszę przeprowadzić badanie kontrolne. Aneryzm serca? Nieprawda. Uderzyłem tego człowieka ciężką metalową popielniczką.

— Denat ma dwa powierzchowne obrażenia — jedno na skroni i drugie na ciemieniu — odparł spokojnie lekarz. — Ale upewniam pana, że umarł na atak serca. Musiał być już od dawna chory.

— Zaraz, co pan mówi? Muszę pobiec do laboratorium. To bardzo ważna sprawa. Uprzątnię sobie obecnie, że zwierzęta, które stworzyłem żyły krótko. Dlaczego nie przeprowadzałem sekcji? To niewybaczalna omyłka... Ale badanie kontrolne...

— Nie przeprowadzi pan żadnego badania, przynajmniej na razie. Odwieziemy pana do sanatorium. Pan jest wyczerpany nerwowo, panie profesorze Braddock.

ZBIGNIEW STACHOWIAK

W POLSKIM DOMU
— POLSKA KSIĄŻKA

KLAMRA I KULA

(Ze zbioru opowiadań p.t. "Kartki z lamusa", z drogi i puszczy)

Oczekiwany od dwóch miesięcy dzień, przebicia się "pikadą" przez puszcę i wydostania na brzeg Anta-Bravy, nie wyglądał tak, jak to sobie wyobrażałem. Wilgotna parnота, w której pracowaliśmy, — widząc tylko chwilami słońce, zasłonięte sklepieniem drzew, — wraz ze zbliżaniem się do otwartej przestrzeni nad rzeką ustępowała z wolna, a powiew wiatru chłodził spływające potem czoła. Po południu, kiedyśmy ścinali ostatnie kilkanaście metrów bambusów, palm i krzaków, ściemniło się nagle. Gdy nareszcie, wydostaliśmy się do doliny nadbrzeżnej, lunął deszcz.

Ulewa tropikalna nie wie co to krople. Wali z nieba jak z wodospadu. Odwrót, przeszło dziesięciokilometrową pikadą pośród sztyletów, ściętych ponad ziemią bambusów, był niemożliwy.

— W dole, niedaleko ujścia Anta-Bravy do Tibagi, jest rancho Marcina... — Towarzyszący mi osiemnastoletni Polak brazylijski Floriano, chwycił mnie za rękę. — Musimy się spieszyć, bo za kilka minut zaleje całą dolinę...

Przed północą po marszu, którego nie podejmuję się opisać, docieramy do ranchy Marcina. Odnajdujemy ją tylko dzięki temu, że znajduje się nad samą rzeką, na wzgórku. Marcin, samotny mieszkaniec ranchy, stara się nam pomóc jak może: rozpala ogień w matym piecu kuchennym, rozwiesza nasze ubrania, suszy na topacie papierosy.

Rozglądam się po zalanej wodą izbie. Dwa miejsca w których dach nie przecieka, — dzięki kawałkom blachy przybitej do gontów, — znajdują się nad łóżkiem i komodą. Rozpalony piecyk, paruje wodą kapiącą z powały. Marcin przesuwając ławę na suche miejsce obok komody.

Floriano, napół-przytomny, wali się na łóżko i natychmiast zasypia. Opieram się o komodę. Mam przed oczami obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej w drewnianej ramce, starą, poślizgniętą fotografię rodzinną, dwie obtłuczone gipsowe figurki, przedstawiające Indian na koniach.

Ogarnia mnie senność. Pragnę oprzeć głowę na krawędzi komody i odsuwać pudełko, które mi zawadza. Pudełko jest otwarte i wyłożone kawałkiem czerwonego płótna. Biorę je do ręki i senność mnie opuszcza. Na dnie pudełka leżą obok siebie dwa przedmioty: klamra i kula.

Na klamrze wyciśnięty napis: "Für Kaiser und Vaterland". Kula należy do pistoletu "Parabellum".

Marcin podaje wysuszonego papierosa i siada obok na ławie.

— Skąd znalazła się tutaj pruska klamra od paska i kula z "Parabellum"? — zapytuje.

— To co o nich wiem, — odpowiada powoli, z namysłem Marcin, — to tylko od dziadka Walkowiaka. Sam to mojego ojca nie pamiętam.

Ta klamra i kula, to wszystko co po nim zostało.

— Kto był nana ojcem?

— Niemiec — z wyraźną niechęcią wyrzuca to słowo, jak splugniecie. — Dziadek, wiecie panie, to pochodził z poznańskiego. Odslugiwał swoje lata w niemieckim wojsku, — szwargotali ze sobą w ojca języku. Popijali kaszase, i Niemiec wszystko o sobie opowiadał dziadkowi.

Zaciągnął się głęboko papierosem.

— Bo, wiecie panie, dziadek to nas wtedy odwiedzał co roku. Garimperował tak samo jak Niemiec. Pan Bóg zrzucił, że tego dnia, nadpłynął łodzią z góry rzeki i wszystko widział...

* * *

Oberleitenant Johann Epp, był chlubą jednego z pułków pruskich grenadierów. W Polsce o takim poruczniku, mówiono by: "Ten Jas, to — pistolet!". Bardzo wiele takich pistoletów koszarowych nie wypaliło na polach bitew. Rezerwowa "oferma" prowadziła żołnierzy do ataku, "pistolet", zadzierający cudownie nogi na parady, leżał dygocząc "z wrażenia" w redlinie kartoflanej.

W roku 1914 Oberleitenant Epp przeleżał kilka godzin w takiej właśnie redlinie nad Somme'ą, a na widok zbliżającego się patrolu francuskiego, zamachał białą chusteczką. Kilka miesięcy później, uciekł z obozu jeńców Camp de Carpiagne pod Marsylią, przebrnął Pireneje, zaciągnął się na statek panamski i wylądował w Brazylii.

W tym czasie rzeka Tibagi, przecinająca Parane, promieniowała sławą znajdowanych na jej dnie — brylantów. Pomimo tej, — całkowicie uzasadnionej sławy, — Brazylijczycy nie spieszyli się z

poszukiwaniami. Puszczą, grzechotniki, żararaki, skorpiony, wielkie włochate pająki, od których jadu nie ma po dziś dzień ratunku, tygrysy brazylijskie, a nade wszystko malaria i żółta febra, nie zachęcały do ryzykownych wypraw.

Sytuacja Eppa była wyjątkowa. Nie posiadał papierów osobistych, był zbiegiem z alianckiego obozu jeńców, wobec własnej armii nie miał czystego sumienia. Okoliczności te zmusiły go do podjęcia wyprawy i zaszycia się, — przynajmniej na pewien czas, — w głębi puszczy.

Za ostatnie pieniądze kupił w Santos muła, wózek, trochę narzędzi, żelaza, łańcuchów i ruszył ku diamentowej Tibagi.

Pierwsze miesiące pobytu nad rzeką wzbogaciły tylko jego doświadczenia. Sklecił domek z ciosanych desek, pobudował łódź, na której umocował coś w rodzaju bagrownicy i rozpoczął badania dna rzeki przy pomocy czerpaka, przyczepionego do długiej tyczki.

Dno Tibagi jest w niektórych miejscach piaszczyste, w innych skaliste albo pokryte mulem. Tu i tam, stosunkowo nieliczne, znajdują się zagłębienia wypełnione żwirem drobnych kamyczków, zwanych "kaskalią". Diamenty obrały sobie miejsce właśnie pomiędzy tymi kamyczkami.

Poszukiwania kaskalii wyczerpały Eppa. Żywił się upolowaną zwierzyną, i dziko rosnącymi owocami. Wymarzone, olbrzymie diamenty zobaczył w gorączce wywołanej malarią do której przyłączył się tyfus.

Wyprawa oberleitenanta Johanna Eppa zakończyłaby się na pewno tragicznie, gdyby łódź innego "garimpeira" nie zatrzymała się na noc opodal jego chatki. Płynął w niej Wojciech Walkowiak wraz z żoną i córką. Kobiety zaopiekowały się chorym, zaczęły go poić wywarami z liści eukaliptusowych, karmiły papką ryżową, przykładając wilgotne okłady na rozpalone czoło.

— Musi to być ktoś "lepszy", — szeptała, patrząc na nieprzytomnego Walkowiaka, — ręce ma niespracowane, białe jak u dziecka.

Czas się dłużył. Walkowiak miał się połączyć w dole rzeki z inną grupą poszukiwaczy. Uradzono, że Wanda, siedemnastoletnia córka Walkowiaków, pozostanie, aby pielęgnować nieznajomego "garimpeira", a oni popłyną w dół rzeki.

— Wrócimy za jaki tydzień... — pożegnał Walkowiak córkę.

Ale nie wrócili. Ani po tygodniu, ani po trzech miesiącach.

Żółta febra w owym roku kładła ludzi pokotem nad rzeką Tibagi.

Któregoś ranka chory odzyskał przytomność. Odwrócił głowę i zobaczył kłęzącą przy łóżku dziewczynę. Z poza drżącej pajęczyny rzes patrzyły na niego jasne, niebieskie oczy, spokojnie i rozumnie.

Kiedy się wyprostowała i podeszła do drzwi chaty wydała mu się zjawiskiem nieskończenie pięknym. Nie mylił się Epp.

Minęło przeszło pół roku. Pewnego popołudnia, Wanda usłyszała wołanie od strony rzeki. Pobiegła ku brzegowi i padła na kolana. Zbliżał się ku niej ojciec. Był sam. Szedł z trudem powoli, opierając się na wiośle. Stanął i długo patrzył na kłęzącą. Objęła go za nogi i zaniósł się szlochom.

— Gdzie matuś? ... — wyszeptała.

Walkowiak wskazał ręką w dół rzeki.

— Bodaż bym razem z nią umarła, — jęknęła, — lepiej to, niż żyć pohańbionej...

— Wstań, Wanduś, — powiedział Walkowiak, — ja jeszcze żyję...

Weszli do chaty.

— Gdzie twój garimpeiro? ... rozglądnął się po izbie Walkowiak.

— Poszedł coś ubić na kolację, musi już wracać, zbiera się na deszcz...

Walkowiak usiadł ciężko na ławie. Zbliżyła się ku niemu i przysiadła na ziemi. Słowami, przerywanymi łkaniem, opowiedziała mu co zaszło.

— Zmusił mnie... groził, że zabije... — wyszeptała ledwo dosłyszalnie.

Walkowiak gładził ją po włosach.

— Ja jeszcze żyję... — mruknął, kiedy skończyła.

Grzmot nadciągającej burzy przewalił się doliną rzeki.

Walkowiak nabił fajkę tytoniem. Wanda zaczęła rozpalać ogień na kominie zrobionym z nadrzecznych kamieni. Nie mówili do siebie. Epp zastał ich milczących. Zmierzył spojrzeniem Walkowiaka, podszedł do ściany i powiesił na gwoździu strzelbę.

— To jest mój ojciec... — powiedziała Wanda.

Epp dorzucił polano do ognia.

— Gut Abend Herr Oberleitenant... — wyrzekł powoli Walkowiak. — Zobaczyłem tu na półce pański epolet, znam się na tym trochę, bo pochodzę spod Poznania i służyłem w waszej armii... Herr Oberleitenant, gut Abend...

Nie zauważył wyciągniętej do niego ręki. Zapalił bez pośpiechu żagastą fajkę, wstał, podszedł do ściany, zdjął strzelbę i powrócił na dawne miejsce.

— Ładna sztuka... — mruknął odciągając kurki.

— Uwaga! — zawołał Epp, — broń jest nabita!...

— Ja to wiem... — Walkowiak splunął w ogień. — I wiem to także że w Ventanii skończyli budowę kościoła, — mówił teraz jakby do siebie. — Księża są już na miejscu. Mszę świętą odprawiają codziennie, chrzczą niemowlęta, chowają, dają śluby przed ołtarzem...

Walkowiak zaczął wytrząsać zagasłą fajkę.
— A może byśmy tak poszli do Ventanii, Herr Johann?... — po raz pierwszy wymienił jego imię.

Epp, wykrzywił wargi, starając się nadać im wyraz uśmiechu.

— Nie mam nic przeciwko temu, — odpowiedział.

Ślub przyniósł szczęście Eppowi. Tak mu się przynajmniej wydawało. W tydzień po powrocie z Ventanii, znalazł kilka niewielkich brylantów. Umożliwiło to mu podjęcie wyprawy do Santos. Celem jej było nabycie skafandra. Kiedy powrócił po kilku tygodniach na progu chaty powitała go Wanda, wraz z tulącym się do jej piersi niemowlęciem.

— Jak mu damy na imię? — zapytała.

— Mój ojciec nazywał się Martin, — odrzekł Epp.

— Marcinek!... — Wanda zaśmiała się radośnie.

Teraz, każdego dnia, cała trójka wyruszała o świcie na poszukiwania. Wyciągali bagrownicą kaskalię, przesypywali kamyki przez sita, znajdowali małe diamenty i inne kamienie mniejszej wartości. Nie zaspokajało to ambicji Eppa.

Czas płynął conajmniej tak szybko jak fale Tibagi. Minęło dwanaście lat od chwili wyładowania Eppa w Brazylii. Wanda harowała od wschodu słońca do nocy, uprawiając ziemię pod warzywa i kukurydzę, gotując, piorąc, pomagając w poszukiwaniach i przesypując kaskalię. Zmarszczki pojawiły się wokół jej ust i na skroniach, skóra na rękach stała się chropowata, nawiedzały ją zawroty głowy.

Epp stał się mruklawy, pobudował sobie w pobliżu inną, mniejszą ranszę, w której spędzał wieczory i noce.

— Co on tam robi? O czym myśli?... — zadawała sobie pytania Wanda, układając do snu małego Marcinka.

A Epp myślał o tętniącej życiem Under den Linden, o Albrecht-Hotelu, gdzie spotykał się w każdą sobotę z uperfumowaną, pulchną przyjaciółką, o piwie spijanym w rodzinnym Poczdamie, o pieśniach śpiewanych w gronie pułkowych kolegów. Epp myślał o — powrocie.

Cały plan miał już gotów od dawna. Brakowało tylko jednego elementu: brylantu.

6 maja 1927 roku, — dobrze tą datę zapamiętał Wojciech Walkowiak, — Epp wraz z Wandą wypłynęli jak zwykle na rzekę.

Spróbujmy dzisiaj bliżej wodospadów, nigdyśmy tam nie byli... — powiedziała Wanda.

— Możemy spróbować... — mruknął Epp.

Zarzucili kotwicę. Wanda zaczęła obracać koło bagrownicy.

Pierwsze obroty wyrzuciły z czerpaków — kaskalię.

Epp zaczął przesypywać kamyczki przez sita. Nie upłynęło kwadransu, kiedy Wanda usłyszała poza sobą zduszony krzyk mężczyzny:

— Herr Gott! — zacharczał.

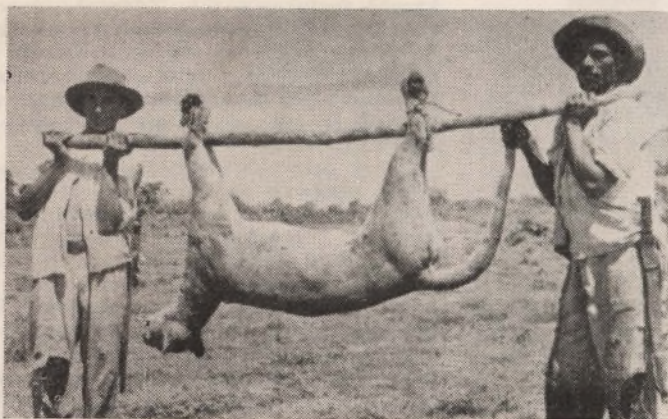
Odwróciła się, zbliżyła do niego i pochyliła głowę. Na sicie, pośród niewielkich kamyków kaskalii leżał — diament. Wydawał się Wandzie, — olbrzymi.

— Dobrze radziłam... — szepnęła, — bliżej wodospadów... bliżej Salto - Labirinto.

Epp popatrzył na żonę. Zauważyła, że twarz ma zmienioną prawie nie do poznania. Zwarł szczękę, w oczach tańczyło zwierzęce okrucieństwo.

— Wiesz, więdmo, jak się nazywa ten diament? — zapytał. — Nazywa się — nowe życie!!!

Wanda wyciągnęła ramiona pragnąc ująć sito. W tym momencie Epp kopnął ją z całej siły w twarz. Krew zalała jej oczy, pochyliła się ku tyłowi i zapadła w ciemność.



Polowanie w Mato Grosso. Ze zbiorów Michała Czerewko, São Paulo.

Czerwona plama krwi spłynęła ku wodospadowi, po bardzo spokojnej ponad nim wodzie.

W tej chwili, z góry rzeki, nadpłynął Wojciech Walkowiak.

W pierwszej chwili, nie mógł pojąć co się stało. Widział przez ułamek sekundy głowę córki wynurającą się z wody, nieco później zobaczył jej ciało spływające pomiędzy głazami ku wodospadowi.

Łódka Eppa dobiła już do przeciwległego brzegu, gdzie wydeptana przez zwierzęta wila się poprzez spadziste urwisko ścieżka.

Walkowiak, wiosłując z całej siły popłynął w tym kierunku.

Wysiadł z łódki, nabił strzelbę i zagłębił się w puszcze.

* * *

Zatraciłem pojęcie czasu. Widoczne już za oknem kontury drzew, mówiły, że dzień się zbliża. Marcin rozpałił ogień i wyspał do woreczka kawę. Floriano przewracał się na łóżku, belkując coś przez sen.

Przyglądam się spod oka Marcinowi.

Jest wysoki, barczysty, przekroczył już czterdziestkę. Po matce odziedziczył niebieskie oczy, po ojcu wyraz brutalności w zarysie szczęk i ust. Mimo to, widać to od razu, natura matki zwyciężyła w Marcinie. Jest bardzo spokojny, mówi powoli, ruchy jego są łagodne, jak gdyby — kobiece.

Pijemy kawę i wychodzimy przed ranszę. Deszcz przestał padać, tarcza wschodzącego słońca, jak płomień, ukazuje się za wzgórzem, stado papug z jaszczkami przelatuje nam nad głowami.

Pod nami, w dole, huczy wodospad.

Po drugiej stronie rzeki, w oddali, dostrzegam dwie stare chaty. Twarde drzewo peroby oparło się czasowi.

— Tam się urodziłem... — słyszę głos Marcina. — A tam, z prawej strony, widać początek ścieżki, którą dziadek poszedł za Niemcem.

Patrzę na kropelki wody rozpryskującej się na głazach tysiącami brylantów.

"Gdyby nie ta wczorajsza ulewa", — myślę — "historia Walkowiaków, pozostałaby na zawsze tajemnicą — puszczy".

Z wierszy kaukaskich

PRZYJAŹŃ

Przyjaźń to wielka rzecz, któż o tym nie wie?

Stałem raz w furcie o wieczornej porze.

Słońce spływało po przydrożnym drzewie,

W dali za wzgórzem błękitniało morze.

A obok byczek pał się białoboki,

Byk ulubiony... Puri miał na imię.

Drugi rok mijał, gdy matczyne wymię

Ssać przestał. Miły był jak te otroki,

Które z dzieciństwa idą w wiek dojrzały:

Figle im jeszcze w głowie i swawola.

Patrzyłem... Allach!... Bawoły szły z pola,

Palmy przed domem moim w ogniu stały,

A zaś ścieżyną w burce wyszarzałej

Podróżny jakiś wędrował znużony

I na mój widok przystanął nieśmiało.

Tyżes to, druhu?... Dawno już w te strony

Nie prowadziły cię zawistne losy.

Jakże się cieszę, że po latach wielu

Długom tej chwili czekał, przyjacielu.

Lecz zanim wezmę w stęsknione ramiona

Pozwól, że byczka złożę ci w ofierze.

W pieśni biesiadnej połączymy głosy!...

Z kindżalem w sercu, w krwi gorącej szmerze

Za przyjaźń naszą wieczną niechaj kona.

SEWERYN A. HARTMAN



W niniejszym numerze rozpoczynamy druk wspomnień więźnia Obozu Koncentracyjnego w Stutthofie Nr. 35.520. Jest to dokument historyczny, w którym nie zmieniliśmy ani jednego słowa. Autor, były wyższy oficer WP, opowiada swe wstrząsające przeżycia bez cienia przesady.

Redakcja

Była mroźna, grudniowa noc r. 1943, gdy gwałtownie i mocno zapukano do drzwi naszego mieszkania.

Usłyszeliśmy głos dozorczy:

— Niech pan otworzy!

Zrozumiałem, że to Gestapo. Błyskawicznie przesunęła się myśl, czy wszystko jest dobrze ukryte i czy gazetki zostały doszczętnie spalone w piecu kuchennym. Ale na sprawdzenie brak czasu. Kołatanie do drzwi staje się coraz bardziej gwałtowne i natarczywe. Uchylam je. Do przedpokoju wpada oficer Gestapo i dwóch podoficerów. Są uzbrojeni w pistolety automatyczne.

Pada gardłowy rozkaz:

— Raus! Haende hoch!

Rozpoczyna się brutalna rewizja osobista i całego mieszkania. Stoimy z żoną, synem i naszą pocziwą gospożą Andzię odwróconymi twarzami do ściany i z podniesionymi rękami czekamy w milczeniu końca rewizji. Teraz każą nam odejść od ściany i okazać dowody osobiste. Gestapowcy przeglądają pobieżnie dokumenty i polecają synowi i mnie ubrać się. W czasie, gdy kładziemy garnitury i palta przedstawiciele Hitlera pospiesznie kradną. W kieszeniach ich znikają złote zegarki syna i mój, sygnety i pugilaresy pozostawione na nocnych stolikach.

Jesteśmy ubrani i gotowi do wyjścia — może na zawsze. Nie chcąc przedłużyć drażliwej sytuacji ściskam żonę i szybko wychodzę z mieszkania. Syn pozostaje jeszcze w objęciach żony. Oficer Gestapo niecierpliwie przygląda się temu pożegnaniu, wreszcie przerywa je. Jesteśmy już z synem na schodach, otoczeni honorową asystą. Na ulicy czeka samochód.

W godzinę potem wjeżdżamy w bramę Pawiaka. W zimnym i ciemnym korytarzu przy wejściu do kancelarii więziennej rewidują nas raz jeszcze i uwalniają z resztek mienia, przedstawiającego jakąś wartość. Zjawia się dyżurny strażnik i prowadzi nas na korytarz VII Wydziału. Każą nam tam rozebrać się do naga i oddać odzież do szczegółowego przeglądu. Wykonujemy ten nowy "befel" w milczeniu i pospiesznie. Ale na tym nie koniec. Fryzjer pozbawia nas włosów, poczem musimy się wykapać pod zimnym natryskiem. Cała ta procedura zbiera sporo czasu. Przemarzliśmy, jesteśmy zmęczeni bezsennością i zdenerwowani. Nadal czekamy na zwrot ubrań. Wreszcie zwracają nam odzież, ale pożałuj Boże w jakim stanie.

Stajemy przed drzwiami celi 52 na tymże VII Wydziale. Zgrzyta zamek. Od progu uderza smród parasy. Cella zatłoczona więźniami, ciemna i cuchnąca. Towarzysze niedoli przypatrują nam się uważnie. Potem padają pytania: za co zostaliśmy aresztowani, kiedy i z jakiej dzielnicy nas wzięto, co słysać na mie-

Tak się to zaczęło

ście... Dajemy oględne odpowiedzi. Wiemy z opowiadań, że Gestapo umieszcza wśród więźniów swoich agentów.

Cela 52 staje się od dziś na dłuższy czas nowym naszym mieszkaniem na łaskawym chlebie niemieckim. Czas dłuższy się w nieskończoność w oczekiwaniu przesłuchania, które odbywa się z reguły w Urzędzie Centralnym w Alei Szucha. Na sam dźwięk tej instytucji serce bije mocno. Stosuję całą siłę woli, aby zachować przynajmniej względny spokój i równowagę. Po raz tysięczny zastanawiam się o co jesteśmy posądzeni. przypominamy sobie cały przebieg życia pod czteroletnią okupacją i przygotowujemy możliwie niewinne odpowiedzi na pytania sędziów. Postanowiliśmy udawać, że nie znamy i nie rozumiemy języka niemieckiego, gdyż przesłuchanie za pośrednictwem tłumacza daje kilka chwil do namysłu przed odpowiedzią.

Czekaliśmy na badanie długie i męczące 13 dni. Ale kiedy po otwarciu drzwi wywołano nasze nazwiska serce mi boleśnie załomotało. Wiedziałem dokąd nas powiozą i że ten urząd, gdzie mieliśmy zeznawać krył tyle okrutnej treści, tyle barbarzyństwa, że jeszcze dziś po latach wspomnienie budzi we mnie dreszcz zgrozy i przerażenia.

Wieziono nas samochodem szczelnie zamkniętym, poprzedzanym przez silną eskortę uzbrojoną w karabiny maszynowe i pistolety szybkostrzelne tzw. rozpylacze. W Gestapo umieszczono nas do czasu wywołania na przesłuchanie w t. zw. "tramwaju", podłużnym, ciasnym i półciemnym pokoju, w którym drzwi zastąpione zostały przez kraty. Wzdłuż pokoju ustawione były w dwa rzędy ławki z oparciem tyłem do wejścia. Ułatwia-

ło to dyżurnemu gestapowcowi obserwowanie więźniów i uniemożliwiało porozumiewanie się z sąsiadami. Wystarczyło lekko poruszyć głową, albo odwrócić się, a już wpadał z krzykiem słynny strażnik - kat Józio, wywlekał winowajcę na korytarz i okrutnie bił. W ruch szły pięści, pałka gumowa, nieraz rękojeść pistoletu. Zdarzało się, że znudzony Józio wywlekał dla rozrywki pierwszego lepszego więźnia i kazał mu wykonywać przysiady w ilości nieraz do trzystu. Ofiara, wycieńczona długim pobytom w więzieniu, już po kilkunastu przysiadach traciła siły i przytomność. Józio okutym butem zmuszał nieszczęśnika do powstania, a skoro się to nie powiodło włókł po brudnej podłodze z powrotem do "tramwaju". Wszystko to działo się na oczach oficerów Gestapo bez żadnej reakcji z ich strony, chyba, że czasem któryś udzielił pochwały gorliwemu Józiovi.

Tuż obok "tramwaju" mieściło się kilka ponurych, ciemnych i zimnych cel — separatorów, przeznaczonych dla poważniejszych więźniów, którzy po kilkakrotnych badaniach, połączonych z niehumanitarnymi i kończących się często złamaniem kończyn lub kłatką piersiową umierali pod lufami plutonów egzekucyjnych, co dla tych męczenników było aktem Boskiego miłosierdzia. Gestapo wołało uśmiercać swe ofiary poza gmachem urzędu, chociaż zdarzało się, że i tu niejednego Polak stracił życie.

Po przeciwnej stronie pojedynczych cel urządzili Niemcy wykwintny bar i restaurację, obficie zaopatrzone w napoje wysokowe przedniego gatunku. Aby uprzyjemnić pobyt w tym przybytku Bachusa pomalowano pięknie ściany i powieszono obrazy przypominające Niemcom ojczyznę. Honorowe miejsce zajmował olbrzymi portret wodza Trzeciej Rzeszy, Adolfa Hitlera. Libacje w restauracji trwały dzień i noc. Podchmieleni esesmani darli się na cały głos wyśpiewując pieśni patriotyczne i wojskowe. A gdy nastrój osiągał szczyt wesołości wracali do zajęć zawodowych. Na wszystkich prawie piętrach słyszało się rozpaczliwe krzyki torturowanych. Zdarzało się nieraz, że ofiara nie mogąc wytrzymać niehumanitarnego znęcania się przyznawała się do niepopelnionych win, aby skrócić męki. Śmierć już nikogo nie straszyla. Traktowano ją jak wyzwolenie i ucieczkę do lepszego świata.

I nie dziw. O czym można myśleć i czego pragnąć siedząc przez długie godziny, dni i miesiące w pojedynczej celi, mając w perspektywie w najlepszym wypadku obóz koncentracyjny, czyli dalsze przedłużenie mąk, jak nie o śmierci.

Ale chciało się pozostawić jakiś ślad po sobie w nadziei, że ktoś przypadkowo, cudem wydostanie się z tego piekła. To też na wszystkich ścianach kaźni wypisane były nazwiska i adresy bliskich, których miało się zawiadomić o losie mieszkańca celi. Niemcy starannie usuwali napisy. Wkrótce jednak powstawały nowe.

WIĘZIEN NR. 35.520

(D.c.n.)



Na Rynku Krakowskim dorocznym zwyczajem krakowscy szopkarze rozkładają dzieła swej sztuki na konkurs na najpiękniejszą szopkę.

BLASKI I NĘDZE WOJNY NA "SOKOLE"

(D. c. z nr. 37)

W bazie poznałem załogę ORP Jastrząb, który zginął u wybrzeży Norwegii zbombardowany omyłkowo przez Anglików i Norwegów.

Był to okręt podwodny otrzymany od Amerykanów i jak się to zdarza kiedy się coś komuś daje — stary, wysłużony gruchot. Dość powiedzieć, że pokład miał drewniany, a wszystkie części żelazne tak zardzewiały, że nie można ich było doczyścić.

Kiedy niszczyciele zaczęły obrzucać ORP. Jastrząb bombami głębinowymi kapitan kazał wypuścić białe rakiety na znak poddania się. Ale nic to nie pomogło. Sylwetka ORP. Jastrzębia w niczym nie przypominała angielskich lub norweskich okrętów i gdy okręt polski się wynurzył niszczyciel norweski ostrzelał go z dział. Traf chciał, że jeden z pierwszych granatów rozerwał się w pobliżu pewnego marynarza i ten marynarz śmiertelnie ugodzony upadł na pokład. Zrobiło to na Anglikach i Norwegach wrażenie, że "nieprzyjaciel" chce skierować na nich ogień ze swojej armaty. Teraz to już poszło szybko. Kilka dobrze wymierzonych salw i stare pudło poszło na dno. W tym wszystkim należy podziwiać jedną okoliczność, że spośród licznej załogi ORP. Jastrzębia zaledwie cztery osoby zginęły.

Istnieje taki zwyczaj w Anglii, że członek załogi zatopionego okrętu podwodnego ma prawo wyboru: może się przenieść na okręt nadwodny lub do floty handlowej. Wielu członków załogi ORP. Jastrzębia skorzystało z tego przywileju. Między innymi przeniósł się na statek handlowy mój najlepszy kolega, Jerzy Pochopień, z którym dzieliłem przez dłuższy czas dolę i niedolę na "Sokole". Ale znaleźli się i tacy co to, niezrażeni, poszli na nowy okręt podwodny, ofiarowany Polskiej Marynarce Wojennej przez Anglików, ORP. "Dzik".

Komendantem ORP. "Dzik" został kapitan Karnowski. Zastąpił go na "Sokole" dotychczasowy pierwszy oficer, Kwiatkowski. W Blyth, gdzie "Sokół" poszedł do remontu, nastąpiło marynarskie pożegnanie. Łało się dużo whisky i dżinu. Z kapitana Karnowskiego, który był synem generała rosyjskiego, wylała szeroka dusza słowiańska. Podpiwszy zaczął wszystkich ścisnąć i całować. Aż dziw było na to patrzeć, gdyż na trzeźwo kpt. Karnowski lubił utrzymywać dystans z podwładnymi, w przeciwieństwie do ktp. Kwiatkowskiego, którego też za to ludzie bardzo lubili. Kpt. Kwiatkowski był do r. 1929 adwokatem i dopiero wojna nauczyła go zabijać bliźnich. Przedtem nie czuł do tego żadnych inklinacji.

W Blyth w owym czasie słynna była sprawa buntu na ORP. Wilk. Poszło, jak to często bywa, o błahą sprawę. Jakiś marynarz nie zaszutował kapitanowi, zaarrestowano go. Koledzy aresztowanego zażądali, żeby go wypuszczono, a gdy to nie poskutkowało, napadli na więzienie wojskowe, wybili drzwi i odbili towarzysza.

Zrobiła się straszna chryja. Całą załogę oskarżono o bunt. Najwięcej się przejął komendant "Wilk". Był to służbista, człowiek dumny i honorowy. Nie mogło mu się pomicieć w głowie, że jego ludzie popełnili takie przestępstwo. Widocznie źle ich wychował. Tak długo czynił sobie wyrzuty, aż wreszcie niepokieszony popełnił samobójstwo. I nie odratowano go. Słowo marynarskie, nie nie bujam.

Śledztwo prowadzono w Montrouse. Jak najbardziej poważnie. Pamiętam, że jednego z kolegów, który przed wojną był studentem Politechniki, zapytano w jaki sposób rozbito drzwi.

— Ano, panie prokuratorze, — oświadczył — było dużo ludzi, ciasny korytarz, wielkie ciśnienie i drzwi puściły, bo ściany nie mogły.

W końcu dochodzenie umorzono, wszystko się jakoś rozlało po kościach.

W Blyth staliśmy sześć miesięcy. Zmieniano armaty, kalibrowano wyrzutnie torpedowe. Panował spokój, naloty niemieckie nie sięgały do Blyth, mogło się wydawać, że nie ma w ogóle wojny. Praca przy remoncie przypominała atmosferę fabryczną. Po robocie chodziło się do baru na piwo, w niedzielę na dancing, dziewczęta szkockie są zupełnie przyjemne.

Pctem było miesięczne próbné pływanié, trzy dni w Dundee, przez Cap Flow do Greenock i postój w Portsmouth. Wiedzieliśmy, że mamy jechać na południe, bo wydano nam białe mundury. Tylko nikt nie mógł się domyśleć gdzie. Może do Bejrutu, a inoże znowu na Maltę? Zagadka została wkrótce rozwiązana. Wzięliśmy kurs na Gibraltar, a następnie na Algier.

Pierwszy raz byłem na Wschodzie i wszystko mnie interesowało: białe i pasiaste galabije mężczyzn i czarne oczy kobiet, spoglądające słodko zza czarczafu. Kiedy człowiek na okręcie podwodnym wypości się należycie to każda niewiasta, nawet dziobata, wydaje mu się hurysą.

Niestety, wstęp do wesołego miasteczka w Kasbie był przez władze wojskowe surowo zakazany. Pewno słusznie, gdyż zaginęło tam czterech Amerykanów i nigdy ich nie odnaleziono.



W BRAZYLII — W BRAZYLII — W BRAZYLII

OBJEKTYWEM PO BRAZYLII

Młoda i ponaćna brunetka, Aneri Goncalves, zamieszkała w Gomes Jardim, walczy od dawna z alkoholizmem swego męża, Milтона. Obeszła właścicieli sąsiednich barów i prosiła, żeby nie sprzedawali mężowi napojów wysokokowych.

Milton lubił najbardziej bar Odilona Anselma, położony przy ul. Francisco Marengo 500. Odilon nie odmawiał mu pingi mimo ostrzeżeń Aneri. Ponieważ prosiły nie pomagały zrozpaczona kobieta zagroziła, że własnoręcznie wymierzy karę Odilonowi.

W pewną sobotę sąsiedzi zawiadomili Aneri, że jej mąż siedzi w barze Odilona. Nie tracąc czasu uzbrowiła się w rewolwer wuja i pobiegła do baru. Zgadzało się: Milton, kompletnie zalany spał przy jednym ze stolów.

— A to tak! — zawołała Aneri i zaczęła celnie strzelać do flaszek z trunkami. Gdy przybyła policja po podłodze płynęła, torując drogę przez zwalę szkła, rzeka pingi i wina. Aneri, oparta o stół, patrzyła z zadowoleniem na dokonane dzieło zniszczenia. Restaurator, ukryty pod kontuarem i trzęsący się ze strachu, krzychał w kółko:

Z Algieru popłynęliśmy na Maltę. Zaczęła się wówczas inwazja z Afryki do Wioch, ale na morzu nic na to nie wskazywało. W drodze otrzymaliśmy rozkaz, aby nie zawiązać na Maltę tylko do Tunisu. Kręte i niezrozumiałe są rozkazy wojskowe.

W nocy ostrzelał nas niszczyciel, nie wyrządziwszy zresztą żadnej szkody. Podobno była to nasza "Byskawica", tak przynajmniej opowiadano, ale proszę mnie w tym wypadku nie trzymać za słowo, nie wiem.

Na redzie w Tunisie stała łajba handlowa amerykańska i zaraz nas zapytała, czy czegoś nie potrzebujemy. Oczywiście, jak zwykle potrzebowaliśmy chleba. Za dwie godziny przysłano nam motorówką chleb i prócz niego żyłетки i papier higieniczny.

Z tym papierem higienicznym to Amerykanie mieli hysia. Przy każdej okazji obdarowywali nim wszystkich. Pamiętam przybyliśmy kiedyś do Gibraltaru po dłuższym patrolu. W drodze zabrakło wody. Wiele rzeczy mogę znieść, ale nie lubię uczucia, kiedy się człowiekowi zdaje, że może się przylepić do ściany. No, więc w Gibraltarze stanęliśmy koło dużego amerykańskiego transportowca. Wiożyłem na szyję ręcznik i poprosiłem grzecznie, żeby mi się pozwolono umyć na tym pięknym statku. Uzyskałem bez trudu zezwolenie. Wykąpałem się fajnie, ogoliłem i poczułem jak w raj. Kiedy koledzy zobaczyli moją metamorfozę poprosili również o gościnę "na ziemi amerykańskiej". Nie odmówiono im. Rekuza spotkała natomiast załogę zakotwiczonego w pobliżu angielskiego okrętu podwodnego.

— Wy tu macie bazę, to i wodę.

Nie potrzebuję dodawać, że obdarowano nas obficie żyłetkami i rolkami papieru higienicznego.

(D. c. n.)

JERZY R. FUSIARSKI

— Zabierzcie tę straszną kobietę! Ona mnie chce zabić!

— Czy pani nie zdaje sobie sprawy — powiedział komisarz policji, — że mogłaby kogoś trafić?

— O, nie. Ja jestem "gausza". Nauczyłam się strzelać w Rio Grande do Sul. Nie chybiłam nigdy. Gdybym chciała kogoś ustrzelić na pewno bym nie spudłowała.

* * *

Bóstwo kubiców piłki nożnej w Rio de Janeiro, czarnolicy Garrincha, wciąż jeszcze przeżywa złą passę. Niezadługo stanie przed sądem oskarżony o przejechanie na szosie z Magé do Rio, chłopca, Joaci Gomesa. Przejechała się również sprawa o separację. Garrincha chciałby jak najprędzej wziąć ślub w Urugwaju ze śpiewaczką Elzą Soares, ale do tego potrzebna jest prawomocna separacja. Aby nie utrudnić mu sprawy Elsa musiała ostatnio zapobiec urodzeniu się dziecka, którego spodziewała się z kochliwym piłkarzem.

Dok. na str. 22

Kiedy puszcza się uciszy przybywa święty

Niedziela. O świcie. W lesie, w górach Cantareira. Światło z trudem przenika przez listowie drzew. Jest jeszcze prawie ciemno.

Nagle przerywa ciszę muzyka. Ostre dźwięki tam - tamu naruszają spokój lasu. Ptaki odlatują przerażone hałasem i zieleni, przetkana czerwonymi kwiatami lian cipó da mata, drży pod brutalną ręką silnego Mulata, Roque, "syna ziemi". Stał fakonu toruje drogę.

Idą członkowie bractwa umbandy w białych szatach, w kołnierzach, z czerwonym kogutem jak sztandarem, w kierunku świętego drzewa. Czekamy w lesie dziewiczym, drżąc z niepokoju. Wkrótce zacznie się jedno z największych misterii kultu umbandy.

Niektórzy z "synów walki" niosą na głowie ogromne garnki z "jedzeniem świętego". Białe suknie o koronkach również śnieżno-białych barwią się czerwonym błotem wilgotnych ostępów leśnych, zaczepiają o gałęzie krzewów. Ludzie suną gęsiego w mitycznym pochodzie do świętego drzewa. Jedni śpiewają, inni modlą się, oczy wpatrzone w nicość, bez wyrazu...

Idą niezmordowanie. Nagle wszyscy stają. Tworzą koło, ponieważ znaleźli drzewo godne świętego. Roque, silny Mula, zagłębia szybko nóż w ziemi, podczas, gdy kobiety otaczają wybrany placek zielonymi wstążkami. Obraz św. Sebastiana wieszają niezbyt wysoko. Pielgrzymi zatrzymują się i zapada cisza, straszliwa. Nie ma już świergotania ptaków, ani wiatru, nic. Zapalają świece i wrzask Indianina napelnia las od kranca po kraniec. Nadbiega z góry spowitej mgłą, w dzień pochmurny. Wszyscy zaczynają śpiewać. Przychodzi, wcielony w wodza namiotu Iemanjá, duch Kacyka Nowiu. Natychmiast, z polecenia wielkiego Orixá, pada czerwony kogut i krew jego pryska na drzewa.

Jest dzień Oxosse, świętego przebitego strzałami.

OBIEKTYWEM PO BRAZYLII

Dok. ze str. 21

Skoro już mowa o Rio Grande do Sul to warto nadmienić, że władze w Porto Alegre dokonały ostatnio ciekawego odkrycia. Stwierdzono, mianowicie, że inspektor miejscowej policji, José Nunes Silveira, zwany Byczkiem, brał udział w napadzie na pewien dom handlowy, przy czym w czasie napadu ranny został nożem jeden ze strażników.

* * *

Niezwykły wypadek miał miejsce w szpitalu Emilio Ribas, w São Paulo. Pewna młoda kobieta, mająca lat 18, została sześć miesięcy temu ukąszona na nogę przez psa. Rana była bardzo głęboka, pozostała po niej blizna długości pięciu centymetrów. W szereg miesięcy po ukąszeniu wystąpiły u kobiety objawy wścieklizny, a ponieważ nie znajdowała się w zaawansowanej ciąży lekarze postanowili zrobić cesarskie cięcie, żeby uratować dziecko. Matka wkrótce po zabiegu umarła, ale niemowlę jak dotąd chowa się dobrze.

Medycyna zna dotychczas tylko jeden podobny wypadek, który zaszedł w r. 1933 w Hanoi w Indochinach. Położnica w wieku 27 lat w czasie ataku wścieklizny poddana została cesarskiemu cięciu i wydała na świat zdrowego chłopca.

REPORTER

Święty Sebastian, jak powiadają niektórzy autorzy i błogosławiony Franciszek Euzebiusz, był duchem, który w swym przedostatnim wcieleniu w dawnych czasach służył w wojsku Nerona. Po przyjęciu chrztu świętego dostąpił męczeństwa wraz z braćmi swymi w wierze. Odbił, następnie, dłuższy staż duchowy i poprosił Pana Jezusa, aby mógł zstąpić na ziemię jako żołnierz w walce o umocnienie wiary chrześcijańskiej. Uzyskawszy zezwolenie walczył wraz z braćmi w obronie wiary Chrystusowej.

Uwięziony i skazany na ukamienowanie, wtrącony został potem do jamy. Kamienie, rzucane przez żołnierzy i pogan, utworzyły nad nią kopczyk. W sposób cudowny udało mu się uciec z tego grobu. Coraz gorliwiej wiesił wiarę, walczył o swe ideały jako żołnierz Pana Boga. Schwytanego po raz drugi przywiązano do drzewa, następnie przebito strzałami. Ale znów ocalał. Znalazła go nieopierzbanego pewna dobroczynna wdowa, zabrala i chciała pochować. Stwierdziła jednak że zdziwienie, że tliła się w nim jeszcze iskra życia. Święty Sebastian wyzdrowiał i dłuższy czas nawracał pogan.

Zdradzony jednak przez fałszywych przyjaciół zgodnie z prawami owych czasów położył głowę na pieńku. Z rozkazu królewskiego resztki śmiertelne świętego zostały rozrzucone na wszystkie strony świata. Ale ręce pobożne zapobiegły profanacji ciała i pochowały świętego Sebastiana w lesie, który tak umiłował.

Fokornie pod imieniem Oxosse, wędzie odtąd żołnierzy umbandy.

Jeden z najdziwniejszych obrzędów leśnych. Mężczyźni i kobiety, kabokle i starzy Murzyni, tańczą akompaniując sobie biciem w dłoń. Bez ustanku tańczą i palą cygara. Wino rozdawane jest bez ograniczeń. Przebywamy w cieniu drzew, podczas gdy kręcą się wokół nas członkowie bractwa, spowijając nas dymem swych cygar. Patrzą pustymi oczami. Straszliwie wrzeszcząc splywa duch Serapiona w ciało Mulata Roque. Inni też wrzeszczą. Cały las przekształca się w dziwaczne pandemonium.

Główny Kacyk daje znak i ciężko dysząc mówi z trudem:

— Mamy dziś święty dzień. Wszyscy synowie powinni się oczyścić i prosić niebiosa o mniej chorób, o więcej pracy i pokoju.

Następnie zwraca się w naszą stronę. Dreszcz przebiega nam po plecach.

— Kacyk nie lubi kiedy strzela mu się w twarz (kiedy się go fotografuje). W każdym razie możecie zostać.

Jest już dość późno i w końcu opuszczamy las. Ludzie śpiewają hymny. Nie widzimy już ich. Opadają nas wątpliwości ci, czy to co widzieliśmy i fotografowali rzeczywiście istniało.

W lesie pozostały podania, świece, czerwony kogut, jeszcze bardziej czerwony od krwi rozlanej na jego piórach, wino, echo tajemnicze głosów, które przebrzmiały.

JOSE CASTRO

(Folha de S. Paulo)

GARIMPEIRO QUELUZ

(D. c. z nr. 27)

— Do zajazdu na stepowym rozdrożu — powiedział — dobrnąłem nazajutrz po Queluzie. Wstępował tu, owszem, ale na krótko, nie chciał nocować. Zaopatrzył się w to co stało na pustawych półkach: w krąček tytoniu, zapalki, flaszkę wódki i tyle. Podawał się za wędrownego handlarza mułów i koni, wracającego z Paragwaju. Dla zatarcia śladów rozpytywał się w dalszej drodze o Jaguariavę, Guarapuawę, a jechał na Ponta Grossę. Ponta Grossa stanowi bowiem główny rynek zakupu i zbytu dla całego okręgu Tibagi i łatwo tam spieniężyć złoto lub diamenty. Ja nie zawadziłem o to miasto. Było mi poręczniej skrócić na Castro, gdzie znajduje się stacja kolei żelaznej i skąd już łatwo dostać się do São Paulo.

— A jak myślisz na ile też obłowił się Queluz?

— Zachciewa ci się, kochasiu, — powiedział Antonio pouczającym tonem — oceniać skarb jezuicki zakopany w Serra Dourada, którego nikt nie znalazł, choć ludzie poszukują go od dawna. Wiesz co zabrał Hernando, Matias też wziął niebagatelną resztkę. Z czym uszedł Queluz? Ha, może z pełną arrobą...

— Barbaridade! Piętnaście kilo! Fortuna. Urobek z płuczek obraca się wokół punktów, kilatów i gramów, a tu naraz arroba.

Ludzie dawali upust podziwowi i zawiści. — Queluz będzie odtąd jeździł z festynu na festyn, z odpustu na odpust. Nie ma nic lepszego do roboty.

— Kupi fazendę kawową, a może fazendę hodowlaną i wszyscy będą mu się nisko kłaniali. Przecież on jest teraz "nio nio" (od senhor — pan).

— Kupi patent pułkownika, zostanie szefem politycznym tj. mandarynem, co to manda e desmanda (wydaje nakazy i zakazy).

— Używa sobie teraz każdego dnia grając w Łiszi.

— Jeździ z miasteczka do miasteczka na sesje sądu przysięgłych. Zadnej nie opuści...

— Przy najbliższych wyborach zostanie deputowanym, stać go na opłacenie propagandy.

— Kupi sobie kantor wymiany i będzie handlował dolarami.

— Będzie jeździć za granicę na wszystkie mecze piłki nożnej rozgrywane przez naszą reprezentację.

— Zamieszka na stałe w Paryżu albo w Nowym Jorku.

Wszystkie przepowiednie zgarnął w jeden kubek Matias.

— Queluz nie wróci już nigdy do garimpy, słowo! Możemy spać spokojnie. O co zakład? Zagrzany brakiem sprzeciwu dodał:

— Stawiam ćwierćkiloowy kamyk. Wieczór bez licytacji to jak taniec bez muzyki. Kto staje do losów?

Rozmówce goziło przetoczenie się na tory hazardu wlokącego się z płuczki do płuczki. Brak żywej gotówki nie stanowi przeszkody. W cieniu hałd odkrywkowych gra się o to co pod ręką.

Już błysnął tu i ówdzie kryształ gotów do stawki, gdy na ramieniu Matiasowym spoczęła ciężko czyjaś dłoń z gestem poufnej przestrogi.

— Co robisz, człowieku? — odradzał szepem nieznajomy. — Schowaj strusie jajo zanim ci je odbiorą.

Matias spojrzawszy zezem w stronę nieproszonego doradcy, ale to nie pomogło.

— Przecholowałeś, bracie. Czy nie poznajesz już kamrata z Rybiej Dziury?

Matias przyjrzał się uważnie nieznajomemu i struchlał.

— Queluz! — zawołał, zrywając się na równe nogi. — Jorge Queluz!

I opadł na siedzenie równie szybko jak podskoczył. Kolana odmówiły mu posłuszeństwa.

Tok zamarł w nagłym milczeniu. Nastąpiła cisza niczym na liściastej grzędzie w koronie rosnącego drzewa po odlocie wrzaskliwych papug.

Jeździec, którego osoba wypełniła cały program wieczoru, stał w blaskach ognia i w ogniu spojrzeń ludzkich, spieszony, ale bynajmniej nie spieszący. Dwaj inni znajomkowie, aczkolwiek również zaskoczeni, nie mieli trudności w rozpoznaniu Queluza. Garimpeiro wymienił przyjazne ukłony z Antoniem i Leonidasem po czym szerokim machnięciem słomkowego sombrera przywitał się z resztą zebranych.

Człowiek był młody, w kwiecie wieku, opalony jak każdy pracujący na płuczkach. Do Broto przywędrował z dalszych stron. Świadczył o tym skromny rynsztunek złożony z garimperskiego tobołka i z kijka nie kijka służącego zamiast laski. Na buciurach znać było ślady domowych lub raczej szalasowych napraw. Szarawary zapożyczyły się napewno z wodą wielu potoków. Sportową koszulkę koloru khaki przeprał niejeden deszcz.

— Estejam à vontade, por favor! ("Nie-krepujcie się, proszę") — zaczął, przerywając kłopotliwie milczenie. — Prowadźcie dalej sąd nad rekinem. Byłoby mi przykro, gdybym miał stanowić przeszkodę.

Mówił tonem rozbawionym, bez odrobiny fałszu.

— Dalej, wiara! — dodał. — Sądząc mnie gdzie chcecie: na pieńku świadka, na kłodzie oskarżonego... Nie mam żadnych tajemnic do ukrywania.

Na majdanie rozegrała się scena przypominająca rojenie się pszczoł u wylotu ula, gdy obca pszczoła zabłądzi, nie do swojego oczka. Napierających było wielu. Osaczony bronił się w pojedynkę.

Nie brakło powodów do nieufności.

— Pierwszą wizytę w Broto składa się nocną porą, puszczyku?

— Widziano cię jak o zachodzie słońca podkradałeś się od tyłów przez bagna, gdzie nikt nie chodzi.

— Czego u nas chcesz, powiada.

Queluz odparł podejrzenia z niewzruszoną pewnością siebie.

— Kamraci, — tłumaczył — mam interes do waszej spółdzielni. Zdążyłem w sam raz na moment rozpalania ogniska, kiedy nikt nie pyta, nikt nie słyszy, wszyscy się tłoczą. Schodząc z ostatniego wzgórza zamiast kołować okreśną ścieżką wykręciłem dolinę na przełaj. Moja wina: wpadłem w moczary.

Po podejrzliwych przyszła kolej na ciekawskich.

— Gdzie się ukrywałeś — pytano — po przyjeździe do grupiary?

— Wcale się nie ukrywałem. Czy nie zauważyliście jak przy ognisku robiłem mały zabieg operacyjny? Musiałem usunąć z pięty pchłę ziemną, bo doskwierała.

— A potem?

— Potem widząc, że nie pora na interesy, a wieczór zapowiada się niezbyt ciekawie przykucałem poza kręgiem światła, gdzie za przeproszeniem uciałem drzemkę.

— Macie gości, który, żeby się przespać nie znajduje dogodniejszego miejsca, niż teatr. I co ci się przyśniło, śpioczu?

— Śniłem, że mowa o mnie. Przecieram oczy, stawiam uszy, a to nie sen. Rozpoznałem Antonia, w chwilę później Leonidasa, wreszcie wyskoczył skądś Matias.

Do rozmowy wtrącił się Murzyn.

— I co powiesz o naszej historii, skoro podsłuchiwałeś bez ceremonii, jak mysz pod miotłą? Prezes bąkał i bąkał dla zabawienia naiwnych, co?

(D. c. n.)

PAWEŁ NIKODEM



ZAGADNIENIA SPOŁECZNE I GOSPODARCZE —

TENDENCJE ROZWOJOWE HANDLU POLSKO-BRAZYLIJSKIEGO

Niemal bezpośrednio po zakończeniu ostatniej wojny została podjęta współpraca handlowa polsko-brazylijska nawiązując początkowo do tradycyjnej struktury wymiany towarowej: surowce ze strony Brazylii (głównie kawa, kakao i włókna) i półprodukty, głównie przemysłowe, ze strony Polski (np. szyny i akcesoria kolejowe, drut kolczasty, siódł jęczmienny). Z biegiem czasu poza wymienionymi powyżej pozycjami Brazylija zaczęła eksportować do Polski rudę żelazną, nasiona oleiste, skóry surowe, pasze treściwe i in. czyniąc ostatnio nawet obiecujące próby eksportu wyrobów przemysłowych.

Polska w pewnym okresie stała się nawet poważnym dostawcą do Brazylii statków handlowych — wykorzystując zupełnie nowy, nie istniejący przed wojną potencjał z rozmachem rozbudowywanego u siebie przemysłu stoczniowego, zajmującego dziś jedno z czołowych miejsc w świecie.

Co prawda dostawy polskiego taboru pływającego do Brazylii nie są już kontynuowane ze względu na powstanie tutaj przemysłu rodzimego to nie mniej zakupione w Polsce jednostki przyczyniły się do ograniczenia poważnego deficytu Brazylii w bilansie wydatków na przewozy morskie.

Wymiana towarowa obu partnerów opiera się na głębokiej komplementarności gospodarczej, którą uwidatniają zarysowujące się trudności układu stosunków Brazylii z niektórymi organizacjami regionalnymi (np. wspólny rynek w Europie). Nie mniej trzeba powiedzieć, że z obu stron nie ma jeszcze dokładnego rozeznania wzajemnego rynku i jego potrzeb.

Dominacja używek (kawa, kakao) w eksporcie brazylijskim jak też zapotrzebowanie własnego rynku wewnątrz olbrzymiego kraju odsunęły w cień problem eksportu szerszych asortymentów towarowych i penetracji rynków nie tylko zamorskich ale nawet sąsiednich. Z drugiej strony nowe metody handlu, zdobywanie doświadczeń kupieckich w skali międzynarodowej jak też specyficzny charakter rynku brazylijskiego sprawiają, że polskie centrale eksportowe pokonywać muszą nie małe trudności.

Wspomniana specyfika rynku brazylijskiego to m. in. żywiołowy charakter rozwoju tutejszej gospodarki; nigdy nie wiadomo dokładnie kiedy, gdzie i jak powstaną na tutejszym terenie zakłady produkujące towary, które dotąd sprowadzano z zagranicy. Ta żywiołowość odbija się na obrotach handlowych Brazylii nie tylko z Polską ale i z innymi krajami. Nie mniej obserwowana już tutaj szeroka akcja planowego programowania i realizowania działalności inwestycyjnej przyczyni się niewątpliwie do bardziej intensywniej współpracy obu partnerów, gdyż system ten bardziej odpowiadać będzie metodom działania organizacji akwizycyjnych w Polsce.

* * *

Przechodząc do bardziej szczegółowej oceny wymiany towarowej polsko-brazylijskiej i jej najbliższych perspektyw stwierdzić należy, że na miejsce wspomnianych już statków handlowych zarysowują się sfinalizowane już sprzedaże dwu kombinatów energetycznych na południu kraju w oparciu o istniejące tam pokłady węgla, oraz większej ilości

ci znanych już tutaj kombajnów "Vistula" do sprzętu zbóż i ryżu.

W odróżnieniu od zakładów termoelektrycznych dostawy maszyn rolniczych do Brazylii mają już w handlu z Polską swoją tradycję.

Rynek brazylijski wykazuje dość dużą chłonność na sprzęt rolniczy, aczkolwiek stwierdzić należy, że pod tym względem istnieje na tym rynku duża konkurencja przede wszystkim ze strony rozbudowującego się w szybkim tempie przemysłu miejscowego. Nie rozporządzamy, niestety, materiałem statystycznym, któryby wskazywał rozwój obrotów w tym zakresie. Możemy jedynie podać, iż w okresie powojennym Polska wyeksportowała do Brazylii 751 ciągników rolniczych 25-konnych, 450 45-konnych i 252 50-konnych oraz 97 kombajnów zbożowo-ryżowych marki "Vistula", pewną ilość silników wysokoprężnych o różnych mocach, pługów i bron tale-rzowych.

Tendencje zwykłe wykazują ponadto dostawy polskich obrabiarek do metali, których ogólna ilość w przemyśle tutejszym przekroczyła już setkę. Użytkownicy brazylijscy chwalać sobie polskie obrabiarki, tak, że przy dobrej koniunkturze Polacy liczą na sprzedaż w b.r. dalszych 100 maszyn.

W dziedzinie maszyn włókienniczych, wę-glowo-górnicznych, hutniczych i in. istnieją obiecujące pertraktacje, których realizacja rozszerzy i wzmocni powiązania gospodarcze obu krajów.

Z tego zakresu należy zasygnalizować finalizację współpracy produkcyjnej zainteresowanych jednostek obu krajów w zakresie budowy w Brazylii aparatów telefonicznych oraz wodomierzy. Kooperacja ta stanowi niewątpliwie pierwszy krok do dalszych, szerszych porozumień tego typu i może dać nowy impuls w intensyfikacji współpracy gospodarczej obu krajów.

Z towarów, których obroty wykazują wyraźną tendencję zwykłą, należy wymienić oprócz szyn kolejowych m. in. stopy cynku (850 t), cynk (400 t), blachę cynkową i wyroby walcowane (blachy, kształtowniki — 2.650 t). Bardzo interesująco kształtowały się w r. 1963 tranzakcje w zakresie podstawcy prostowników. Polska zawarła umowy na dostawę czterech takich podstawcy o mocy 6 MW każda. Posłużą one do zasilenia sieci trakcyjnej podmiejskich kolei elektrycznych w Rio de Janeiro. Dostarczono również w r. 1963 dla przemysłu brazylijskiego kilkanaście dużych silników elektrycznych.

Poważną, ustabilizowaną już pozycję w polskim eksporcie do Brazylii stanowią artykuły chemiczne, których dostarczono w ub. roku za sumę ca 2,5 mln. dol. Obejmują one głównie: sodę kalcynowaną, barwniki, produkty fotochemiczne, farmaceutyczne, nawozy sztuczne, lanolinę, i in. Marka "FOTON" reprezentująca polskie produkty fotochemiczne jest już dziś znana w całej Brazylii.

* * *

Z innych towarów warto wymienić: części rowerowe (ok. 100 tys. dol. w r. 1963), lampy radiowe, konserwy rybne i drobiowe, konserwy owocowe.

Wreszcie omówić należy dobrze rozwijający się eksport do Brazylii wyrobów przemysłowych.

Dok. na str. 24



W STARYM KRAJU — W STARYM KRAJU - W STARYM KRAJU — W STARYM KRAJU

PRZEGLĄD WAŻNIEJSZYCH WYDARZEŃ

Chociaż to późno wspominać, bo już zbliżamy się do świąt Wielkonoce, ale powiedzmy na początku naszego miesięcznego przeglądu kilka słów o minionych świątach Bożego Narodzenia. Otóż święta te upłynęły pod znakiem spokoju i przyjemnej pogody. Jeszcze raz sprawdziło się ludowe przysłowie: "Święta Barbara po lodzie, Boże Narodzenie — po wodzie". Bo, rzeczywiście, po mroźnym dniu wigilijnym, kiedy termometry zanotowały minus 7 st. C, w pierwszy dzień świąt rteć w termometrach podniosła się do 0 st. C. Też dnia w godzinach popołudniowych spadł niespodziewany deszcz.

Nie było szaleństw w tegorocznym karnawale. Mniej niż zwykle lato się wódki i mniej było zabaw. Z roku na rok ginie tradycja karnawałowa. Publiczne bale straciły na atrakcyjności, ludzie przyzwyczaili się bawić na prywatkach. Hej, gdzie te czasy kiedy w Salach Redutowych, w Resursie Obywatelskiej i u Wioślarzy, w salonach Szkoły Sztuk Pięknych odbywały się wielkie bale maskowe, kiedy po balu jeździło się dorożką na gumach w Aleje!...

HANDEL POLSKO-BRAZYLIJSKI

Dok. ze str. 23

słu precyzyjnego. Na pierwszy plan wybijają się tu obroty w zakresie narzędzi i łożysk kulkowych. Sięgają one corocznie kwoty kilkuset tysięcy dolarów. Praktycznie trudno znaleźć na terenie Brazylii poważniejszy zakład przemysłowy, gdzie nie byłyby znane polskie narzędzia rzemieślnicze, tnące lub pomiarowe, znane najczęściej pod marką "Derby".

Bardzo interesująco przedstawia się eksport polskich aparatów fotograficznych i projektorów filmowych. Eksport samych aparatów fotograficznych sięga rocznie kwoty kilkudziesięciu tys. dol. Powiększalniki "Krokus" zdobyły trzecie miejsce w konkursie zorganizowanym przez czasopismo fachowe IRIS, zostawiając w pobitym polu wyroby znanych firm niemieckich i japońskich. Na uwagę zasługuje zawarty niedawno kontrakt z federalnym Ministerstwem Oświaty i Kultury na dostawę kilkudziesięciu tysięcy epidiaskopów typu "Bajka" do wykorzystania na szeroką skalę w akcji alfabetyzacyjnej według znanego projektu prof. Paulo Freire.

Stosunkowo niedawno wprowadzono na rynek brazylijski polskie mikroskopy i sprzęt naukowy oraz komplety cyrkli. Polska eksportuje również do Brazylii aparaturę pomiarowo-kontrolną, automatykę chłodniczą, powielacze, sprzęt i instrumenty medyczne, aparaty słuchowe, wodomierze, przemysłowe maszyny do szycia. Ciekawie zapowiada się możliwość eksportu maszyn matematycznych, stanowiących ostatnie osiągnięcie polskiej myśli technicznej.

Podany przez nas obraz rozwoju obrotów handlowych polsko-brazylijskich nie jest kompletny, ponieważ brak miejsca nie pozwala na specjalistyczną analizę. Obraz ten pozwala jednak na ogarnięcie okiem różnorodnej skali eksportu polskiego, którego globalna wartość w ub. roku przekroczyła 15 mln. dol., jak i po części jego możliwości, a ciekawsze wiadomości o współpracy gospodarczej polsko-brazylijskiej będziemy publikowali bieżąco.

(J. Gr.)

Marlena Dietrich wystąpiła w Warszawie! Było to wielkie wydarzenie w życiu kulturalnym nadwiślańskiej stolicy. Postuchajmy co o tym występie mówi recenzent "Życia Warszawy":

"Marlena śpiewa niskim, bardzo matowym, czasami zda się aż lekko schrypniętym, pierśsiowym głosem. Jej repertuar obejmuje wiele znanych melodii, od dawnych, łączących się z pierwszymi filmami, jak żywiłowa, pełna temperamentu "Lola" z "Błękitnego Anioła", aż po współczesne "La vie en rose". Mówi, że o wyborze zawsze decyduje tekst: staje się to zrozumiałe, kiedy obserwuje się wykonanie; aktorska interpretacja wysuwa się zawsze na plan pierwszy, dominuje nad wrażeniami odbiorcy, słowa stają się zrozumiałe bez względu na język, w jakim są śpiewane. Śpiewa po angielsku i po francusku. A kiedy przyjdzie jej zaśpiewać po niemiecku, przeprosi salę tłumacząc, że te słowa nigdy nie zostały przetłumaczone na żaden inny język i istnieją tylko w języku oryginału.

Godziny spędzone wspólnie z Marleną Dietrich na warszawskiej estradzie zostawią na długo niezapomniane wrażenie. Takie, jakie jest udziałem widzów i słuchaczy tylko wtedy, gdy spotkają się oni z prawdziwie wielką sztuką i wielkim pieśniarstwem..."

Prócz Marleny Dietrich Warszawa gościła jeszcze reprezentacyjny brazylijski zespół ka-

meralny "Quarteto de Rio de Janeiro". Przedtem zespół koncertował z wielkim powodzeniem w Łodzi i w Krakowie.

Na ostatku smutna wiadomość. Dn. 26 stycznia zmarł w Warszawie po długotrwałej i ciężkiej chorobie w wieku 89 lat znakomity rzeźbiarz, Ksawery Dunikowski. Artysta uprawiał także malarstwo. Urodzony w Krakowie rozpoczął studia rzeźbiarskie w pracowni W. Syrewicza w Warszawie, a kontynuował je w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Pierwsze swe dzieła, cykle rzeźb pt.: "Człowiek" i "Macierzyństwo" tworzy w historycznym już dziś okresie Młodej Polski. W r. 1902 zostaje profesorem Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie, skąd po sześciu latach przenosi się do Krakowa. Przebywa, następnie, za granicą, gdzie powstaje jedno z największych jego dzieł: "Grobowiec Bolesława Śmiałego". Po powrocie do kraju obejmuje katedrę rzeźby w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Tu też podejmuje pracę nad sławnym cyklem rzeźb portretowych wielkich Polaków tzw.: "Głowami wawelskimi". Aresztowany w czasie wojny przez Niemców pięć lat przebywa za drutami Oświęcimia. Po wojnie był profesorem rzeźby w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, a następnie aż do śmierci profesorem Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych we Wrocławiu. Pozostawił po sobie ponad 600 dzieł: pomników, kompozycji figuralnych i rzeźb portretowych.

(as)

PRZEGLĄD POLSKI INFORMUJE:

Awans Białegostoku. W Białymstoku mieszka obecnie 130 tys. osób. W ciągu minionego dziesięciolecia liczba ludności miasta wzrosła o 176 proc. Jest to największa średnia przyrostu w kraju. Przewiduje się, że do r. 1980 Białystok będzie liczył 230 tys. mieszkańców.

Polski transport samochodowy na europejskich szlakach. Nie każdy o tym wie, że polskie samochody ciężarowe docierają do wszystkich prawie krajów Europy. Spotkać je można na drogach Austrii, Czechosłowacji, Bułgarii, Finlandii, Belgii, Jugosławii, Holandii, Hiszpanii, Norwegii, Niemiec, Rumunii, Z S R R, Szwajcarii, Szwecji i Włoch. Są to duże ciężarówki 10-12-14 tonowe, a nawet 20-tonowe z przyczepami i samochody chłodnicze do przewożenia żywności. Autokary polskie, obsługujące polskie wycieczki zagraniczne, widuje się w Rzymie, w uzdrowiskach jugosłowiańskich nad Adriatykiem i na Polach Elizejskich w Paryżu.

Rewelacyjny termometr. Znany twórca sztucznego serca, inż. Franciszek Płużek z Poznania, skonstruował ostatnio termometr termistorowy. Aparatem tym przy zastosowaniu wymiennych końcówek i przedłużacza można w ciągu 5 sekund zmierzyć ciepłotę żołądka i innych organów wewnętrznych człowieka.

Trudny rejs. Holownik "Koral" dn. 20 czerwca opuścił port Gdański, mając na holu barkę, ponton i szalandę przeznaczone dla Cypru. Po miesięcznej podróży, gdy holownik przybył na miejsce, został zaalarmowany: na statku hiszpańskim "Benicassim" wybuchł pożar. Załoga "Korala" pożar ugasiła, a następnie odstawiła statek do Bejrutu. W drodze

powrotnie przed dotarciem do Gibraltaru holownik otrzymał nowe zadanie. Trzeba było przyholować z zatoki Meksykańskiej do Antwerpii wypalony statek hiszpański "Mar Cantabrico". Holowanie przez Atlantyk było prawdziwym koszmarem. Przez cały czas "Koral" pływał w strefie gwałtownych sztormów, cztery razy fale zrywały linę. Holowanemu statkowi groziło zatonięcie, gdyż do ładowni przeciekała woda. "Koral" powrócił do Gdyni dopiero w połowie grudnia ub. r. po prawie półrocznej podróży.

Siostry siamskie. W grudniu urodziły się w szpitalu powiatowym w Żaganiu zrosnięte klatką piersiową i brzuskami siostry siamskie. Dziewczynki żyły tylko dwa dni. Sekcja zwłok wykazała, że posiadały one tylko jedno serce. W serce to wrosnięte było jakby drugie, szczątkowe. Poza tym miały wspólną wątrobę. Pozostałe ważniejsze organy — nerki i przewód pokarmowy — oddzielne.

RUCH STATKÓW POLSKICH W MARCU

Przyjście statków

m/s KOCHANOWSKI — Rio de Janeiro — spodziewane przybycie koniec lutego, Santos — około 10 marca, Paranaguá — około 15 marca.

m/s J. CONRAD — Rio de Janeiro — spodziewane przybycie — koniec marca, Santos — pocz. kwietnia.

Wyjście w kier. Europy

Nie przewiduje się w marcu zawinięcia statków polskich, udających się w kierunku Europy.

LISTY DO REDAKCJI

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 36 "Przeglądu Polskiego" ukazał się artykuł Wojciecha Breowicza o Kolegium Maletańskim.

Jako jeden z tych, którzy ukończyli to kolegium, muszę skorygować nieścisłości, które zakradły się do tego artykułu.

Prawdziwymi założycielami Towarzystwa, opiekunami szkoły, członkami zarządu i administracji byli nie żyjący już dziś: Roman Paul, Adam Sobociński i Konrad Jeziorowski. Oni tołożyli wysokie sumy na zakup terenu, budowę i synów swych kształcili w Kolegium.

Jak można było pominąć właśnie tych, którzy oddali największe usługi przy organizacji i budowie szkoły?

Możliwe, że i ja zapomniałem kogoś po tylu latach, nie wolno jednak skreślać z pramieni nazwisk, wymienionych powyżej i nazwisk Wojciecha Twardowskiego, Stefana Bartoszką, Józefa Baziewicza i Michała Gryczaka, albo inspektorów i opiekunów: Romualda Krzesimowskiego i Tadeusza Suchorskiego.

Uzupełniając listę pedagogów chciałbym także wymienić profesorów: J. Matuszewskiego i Franciszka Łypa, pionierów wychowania fizycznego, prof. Wojtowicza, nauczyciela ogrodnictwa, robót ręcznych i gimnastyki i Jana Dulskiego, któremu Kolegium zawdzięcza okres najwyższego poziomu nauki. Prof. Dulski wpajał również w uczniów zasady ogłady towarzyskiej, wdrażał w nich poczucie wzajemnego szacunku i obowiązków obywatelskich. Wszyscy zawdzięczamy mu wiele.

São Paulo, dn. 14 stycznia 1964 r.

Jan Sobociński

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,

Od dawna już chciałem napisać do "Przeglądu". Z różnych powodów pisanie to się odwlekało. Ale według przysłowia: "co się odwlecze to nie uciecze", i nie uciekło, bo już piszę...

O swoim zdrowiu piszę poniżej. Co zaś do żony to, niestety, przeniosła się do innego życia, w którym podobno jest mniej cierpienia i które jest bogatsze od tutejszego, tj. umarła.

Przyzwyczajaliśmy się mówić: umarł, umarła, więc tak piszę, a właściwie — porzuciła zużyty do ostateczności swój organizm. Gdy ukończyła 72 lata zaczął się stopniowy spadek sił żywotnych, w 75 roku z trudem już utrzymywała się na nogach, a ostatnie cztery miesiące nie roztawała się z łóżkiem. Gdy w ostatnim roku zaczęły się pojawiać dolegliwości wbrew jej woli zaważaliśmy dwukrotnie lekarza. Po pierwszej wizycie nastąpiło pogorszenie. Druga wizyta tyle pomogła co przysłowiowe "umarłemu kadzidło".

Pozostałem więc sam.

Moi zamożni kuzyni zaofiarowali mi mieszkanie i utrzymanie — bez żadnych obowiązków. Choć wiem, że byłoby mi tam dobrze — odmówiłem. U moich syna i córki, aczkolwiek są mniej zamożni, też byłoby mi, jak "u Pana Boga za piecem". Jednak wybrałem samotność. Sam sobie jestem kucharzem, sam sprzątam mieszkanie, sam staram się o wszystko co mi jest potrzebne.

Dlaczego to robię? Może zdziwiałem na starość, co się niekiedy zdarza? Nie, są do tego powody.

Całe życie miałem skłonność do przeprowadzania najrozmaitszych doświadczeń. Nie byłem nigdy w zgodzie z ogólną opinią, że człowiek po sześćdziesiątce staje się niepro-

dukcyjny. Byłem i jestem zdania, że nawet po osiemdziesięciu latach, jeżeli się chce i umie można wytwarzać wystarczająco na swoje utrzymanie. Mnie wprawdzie jeszcze brakuje cztery lata do osiemdziesiątki, ale mam zamiar być samowystarczalnym choćby do stu lat.

Produkuję warzywa. Już z natury swojej tutejsza gleba jest jałowa, wymaga nawożenia, a nawożenia. Poza tym, jak Panu wiadomo, staram się swój produkt oddawać spożywcom jak najtaniej. Gdy obecnie za czosnek płać 500 do 800 kruczejrów za kg, ja sprzedaję swój po 160, gdy cena ziemniaków wynosi obecnie 70 - 90 kruczejrów za kilogram ja sprzedaję po 30.

Klimat nie szczędził nam w tym roku zawałów. Była w ciągu pięciu miesięcy susza. Czego nie zniszczyła susza to wykończyły silne mrozy. Pomimo takiego prawie kłeskowego czasu wyszedłem z tego obronną ręką, miałem nawet niewielką nadwyżkę nad wydatkami. Później przyszły deszcze, uprawy się poprawiły i dochód znacznie zwiększył.

Chodzi mi jednak jeszcze o coś więcej. Widzi się dziś powszechny pęd i nawoływanie do mechanizacji pracy. Jest to jakby konieczność naszych czasów. Ze ja mam pecha do maszyn i nie lubię ich to moja osobista sprawa. Jednak rozsądek każe mi przyznać, że mechanizacja do pewnego stopnia jest potrzebna. Ale nie wierzę i uważam to za bardzo problematyczne, aby pożądanego było jak największe zmechanizowanie pracy.

Niewiara moja oparta jest na praktyce życiowej. Rolnik, całkowicie bez pomocy maszyn, może wyprodukować kilkakrotnie więcej, niż potrzebne mu to jest do spożycia.

Moje narzędzia pracy to motyka, widły i taczka. Wozu używam tylko do wywożenia żywności do miasta. Plug, opielacz, bronę stosuję bardzo rzadko. Przy pomocy tych prostych narzędzi, mając lat 76, produkuję więcej, niż każdy przeciętny rolnik, a nawet dwa, trzy razy więcej w zależności od warunków klimatycznych, sprzyjających rozwojowi roślin. Gdyby wszyscy tak pracowali kraj miałby żywności pod dostatkiem.

Gdzież więc konieczność gwałtownej mechanizacji pracy? Pęd ten rodzi się głównie z nieograniczonej chciwości i lenistwa człowieka. Chciwość każe gromadzić jak najwięcej, a lenistwo — pracować jak najmniej. Są to dwie główne wady, które z kolei tuczą trzecią — skłonność do użycia.

W krajach wyżej rozwiniętych — nie będzie chyba w tym twierdzeniu przesady — zaledwie jedna trzecia produkcji służy zaspokojeniu rzeczywistych potrzeb, a dwie trzecie wygodom i używaniu. W tych warunkach czeka nasze społeczeństwo nieuchronna dekadencja, gdyż w wygodach i używaniu siły charakteru się kurczy, a opanowują człowieka słabości, zmniejszają się również siły fizyczne i odporność organizmu.

Nie udało mi się spostrzec, ażeby ktoś pisał i przestrzegał o niebezpieczeństwach przeze mnie poruszonych. Widzi się już natomiast w niektórych krajach, a przede wszystkim w przodujących Stanach Zjednoczonych, zwinięcie równowagi między popytem, a podażą pracy. Wskutek automatyzacji procesów produkcyjnych traci miesięcznie pracę w USA, jeżeli się nie myli, 45 tys. osób. Jest to początek smutnej rzeczywistości, o której już się pisze i mówi.

Jeżeli kiedykolwiek jakieś wady ludzkie inicjują niepożądany kierunek równie niepożądany skutek nastąpi prędzej, czy później, często ze strony, z której najmniej się go spodziewamy. Współczesna cywilizacja popelnia gruby błąd starając się jedynie o udoskonalenie maszyn i zaniedbując człowieka. Gdybyśmy swoje zdolności, i wynalazczość, zastosowali nie tylko do ulepszenia maszyn,

lecz również do ulepszenia siebie, podnoszenia wartości wewnętrznych — to zrozumielibyśmy co może przybliżyć nas do szczęścia.

Trzeba pamiętać, że warunki życia są rzeźbiarzem naszych charakterów i że siły charakteru zdobywa się wyłącznie poprzez trud, a my wolimy unikać trudów i otaczać się wygodami. Czas wielki o tym pomyśleć.

Wiem, że to co piszę będzie uważane za dziwactwo lub bzdury. Cóż, nie mam wielkich zdolności do przekonującej argumentacji, a po wtóre wiatr skąd inąd wieje. Trudno.

A co do mojego zdrowia, o które Pan zapytuje, to nie czuję się jeszcze źle i nie stękam wcale.

Afonso Pena, 7 grudnia 1963 r.

Józef Grabias

ZARZUT I ODPOWIEDŹ

Szanowny Panie Redaktorze

Nadając przez 5 lat powojennych, pogadanki z BBC, ulegałem początkowo niemiłemu wrażeniu: zamykam człowieka w małym studio, technik za szybą — znający natężenie głosu stałego prelegenta, — nastawia amplitifikator idzie na papieroś, pozostawiając ofiarę sam na sam z mikrofonem.

Wydawało mi się, że mówię do — ściany. Ktoby mnie tam słuchał!

Dopiero później, kiedy poczęły nadchodzić listy z Kraju, z Europy, Afryki i Ameryki zrozumiałem, że głos nie trafia w próżnię.

Pisząc dla "Przeglądu Polskiego" miałem takie same uczucie jak początkowo w BBC. "Kto mnie czyta?" — myślałem.

Okazuje się, że — czyta. Nie tylko mnie. Czyta cały numer od deski do deski. Ba! — daje tego publiczny dowód. Jestem pewien, że wszyscy piszący na tych łamach, są mu za to serdecznie wdzięczni. Osobiście, dziękuję mu szczerze za podtrzymanie mnie na duchu.

W nr. 314 "Kuriera Polskiego" wychodzącego w Buenos Aires, jego brazylijski korespondent podpisujący się jako "Zastępca", poświęca "Przeglądowi Polskiemu" kilka soczystych jagodek. M. in. znalazła się jedna — cierpka, — którą mnie poczęstował za napisanie recenzji z książki A. Solżenicyna p. t. "Jeden dzień Iwana Denisowicza". Zanim przejdę do odpowiedzi na zarzut, uwaga marginesowa:

Od dłuższego czasu, po naszej rodzimej kniei, — że pozwolę sobie zapożyczyć to malownicze określenie "Zastępcy", — wloczą się myśliwi po tropach "Przeglądu Polskiego". — "Przemknął tędy czerwony..." — mówią jedni. — "Czujemy w pobliżu — białego... — węża inni. "Ani czerwony, ani biały tylko "w kratkę"... — konstatują ci, którzy przed laty jeździli tramwajem "O" "na Pragę".

Korespondent "Kuriera Polskiego", bardzo grubymi nićmi sugeruje, że — czerwony.

O ile "Kurier" nie wychodziłby w Argentynie, ale w Anglii, to stanąwszy przed sądem za "libel" (oszczerstwo), — w razie niemożności udowodnienia zarzutu, — cała Redakcja tego pisma poszłaby po rozprawie do domu bez butów. Jak wiadomo kary za takie przestępstwo są w Anglii fantastyczne i sięgają setek tysięcy funtów szterlingów.

Wyjaśnienie jakie jest stanowisko "Przeglądu Polskiego", znajdują czytelnicy w numerze styczniowym. Wyjaśnienie to, nie jest skierowane pod adresem "Zastępcy" i jego przyjaciół. Ludziom, którzy obrali sobie za cel szkoderstwo pismu i podrywanie do niego zaufania, żadne oświadczenia nie trafią do przekonania. Jest ono przeznaczone dla rosnącej szybko gromady czytelników, od których (— patrz wyżej BBC) Redakcja otrzymuje coraz więcej listów. Jest ono po-

wtórzeniem dawno już ogłoszonego "credo" "Przeglądu Polskiego".

Tyle na marginesie. Przechodzę "do rzeczy".

Istnieje wcale rozsądne angielskie powiedzenie, które mówi:

"It is good to know some one else's point of view", albo "another's point of view", czyli "Dobrze jest poznać cudzy punkt widzenia."

Dla wyjaśnienia mojego "punktu widzenia", — niestety, — jestem zmuszony ponudzić trochę czytelnika i cofnąć się do przeżyć, które ten "punkt" skonstruowały.

Kiedy w r. 1914 powróciłem ze szkoły w Galicji na wakacje do Warszawy zastałem w domu niespodziankę: ojciec mój sprzedał naszego Flandersa-Studebakera i kupił przelślicznego Benza.

— "Zdałeś dobrze egzaminy — powiedział — zawieziesz nas do Meranu.

Ale, nie powiozłem. Wybuchła wojna i zamiast do Meranu, pojechałem do koszar Litewskiego Pułku Lejb-Gwardii, (później, w przerobionych gmachach tych koszar mieściło się nasze Min. Spraw Wojskowych), gdzie "mobilizowano" samochody dla wojska.

Przeglądając się nieokrzesanym kierowcom rosyjskim, mordującym bez sumienia motory, serce mi się krajało.

Wedle zgodnej opinii wszystkich naszych znajomych mobilizacja ówczesna była tylko — straszakiem. "Postrasza się i za miesiąc zdemobilizują" — mówiono. "A podczas tego straszaka, rozbijają mi mojego Benza" — myślałem. Mogłem go uratować tylko jednym sposobem: pójść razem z nim do wojska. Byłem pewny, że zanim wakacje się skończą wróce do domu.

Dowódcą 8 Automobilowej Roty — formowanej w Warszawie — był sztab — kapitan Łabanow. Poszedłem do niego. Mówiłem słabo po rosyjsku, ale mnie jakoś zrozumiał.

— Ile macie lat młody człowieku? — zapytał.

— 17 — odpowiedziałem, dodając sobie jeden rok żywota.

— Oceń haraszo, pojedziecie s nami... — napisał mi kartkę do magazynu mundurowego.

Brakło mu kierowców i przypuszczam, że przyjął by niemowlę.

8 Automobilową Rotę podzielono i przydzielono mnie do sztabu XXIII Korpusu Gwardii, dowodzonego przez gen. Daniłowa.

Tutaj, po raz pierwszy w życiu, zetknąłem się z Rosjanami.

Korpus był przekrojem całego imperium, i przekonał mnie, że naród rosyjski, — jako taki — właściwie nie istnieje. Jeśli wykreślić z mapy najbliższe okolice Moskwy, to jest on zlepkiem przeróżnych plemion obcych sobie językiem, religią, obyczajami. Od Czukczów i Samoiedów począwszy poprzez Tatarów, Chinczyków, Mongołów, Białorusów, Ukraińców, itd. do Gruzinów, Osetyńców, czy też Ormian, naród ten jest mieszaniną przeróżnych ras. Taka to mieszanina, przybrana w jednakowe carskie mundury, wojowała w XXIII Korpusie Gwardii.

Przyjazd mój do Korpusu, przyjęto z entuzjazmem. Dostałem naszywki "wolno opredielajuszczewo" (ochotnika). Wraz z dwoma innymi ochotnikami, starszym ode mnie hr. Tarło i baronem kurlandzkim Hagenem, jadałem w Kasynie Oficerskim Sztabu, przy osobnym stoliku, który zazwyczaj ustawiano obok drzwi sali, w której aktualnie kasyno się znajdowało. Pewnego razu, gen. Daniłow, przechodząc obok naszego stolika, wręczył mi numer pisma "Wokrug Swieta".

— "Czytaj młodoj czełowiek", — uśmiechnął się — tak kak — u ciebia użasnoje udateniel!"

Nie nauczyłem się do dziś po rosyjsku i proszę mi wybaczyć błędy w tych cytatach.

Wkrótce Benz stał się ulubieńcem — Sztabu. Po za jednym wyjątkiem — o, którym wspomnę za chwilę — wszyscy traktowali

mnie po koleżeńsku. Zdając sobie sprawę ze słabości mojego rosyjskiego języka, oficerowie których woziłem, starali się rozmawiać ze mną po francusku. Wszyscy wyrażali się z głęboką sympatią o Polakach, potępiali prześladowania i twierdzili, że po wojnie odzyskamy wolność.

Wyjątkiem był Szef Sztabu pułk. Rykaczow. Ten patrzył na Tarło i na mnie z pogardą. Któregoś dnia kazał swojemu adjutantowi nauczyć mnie, jak się robi "podkazyriok" (jak się salutuje). Po lekcji, adjutant powiedział żebym się tym nie przejmował, bo Rykaczow to swolocz i niedługo z Korpusu wyleci. Tak się też stało.

Wiele "inteligentniejszych" stanowisk w Korpusie, obsadzonych było przez Polaków. Np. na Stacji Telegrafu Iskrowego pracowali sami Polacy.

Podczas jednego z wyjazdów służbowych do Warszawy dowiedziałem się o Legionach i komendancie Piłsudskim. Spotkałem się z Januszem Jędrzejewiczem - Ordonem. Po rozmowie z nim mundur moskiewski zaczął mnie parzyć.

— Co Benz to nie Polska — pomyślałem.

Przy pierwszej sposobności, w nocy, podczas odwrotu, ukryłem się we wsi. Rano znalazłem się w rękach niemieckich huzarów.

Wzięto mnie na badanie.

Pytał młody lejtnant, tłumaczył łamaną polszczyzną podoficer.

Kiedy lejtnant zapytał mnie o oddziały wchodzące w skład Korpusu, odpowiedziałem że poddałem się dobrowolnie pragnąc dostać się do Legionów Polskich i że szpiegiem nie jestem. Usłyszawszy przetłumaczoną odpowiedź lejtnant wpadł w furję i uderzył mnie w twarz uszkadzając chrząstkę nosa.

W tej chwili wszedł do izby, w której mnie przesłuchiowano, starszy oficer. Wysłuchawszy raportu lejtnanta, kazał tłumaczowi wszystko powtórzyć, a widząc moją zakrwawioną twarz, polecił mnie odesłać do szpitala.

Jak się z niego wydostałem i dotarłem do Warszawy, a potem do 1 pułku ułanów Beliny, to już inna historia. I tak odbiegłem bardzo daleko od tematu.

Pobyt w XXIII Korpusie Gwardii, powiedział mi, że Rosjanie, inteligenci (oficerowie) chłopci i robotnicy, (żołnierze), nie są naszymi wrogami.

Wrogiem jest carat ze swoim aparatem administracyjnym i "ochroną" na czele. Oddając w lecie 1916 roku na Wołyniu pierwszy strzał do Moskali — przyznam się szczerze — miałem głupie uczucie.

W r. 1917 rotacyjna scena historii przesunęła się na lewo.

Zamiast caratu nad Rosją zapanowali — bolszewicy.

Pomimo dwudziestu lat ich rządów, mieszkańcy Rosji mało się zmienili. W r. 1939 wynosili oni naszym jeńcom pędzonym przez wsie i miasta, — chleb. W tym samym czasie kolumny naszych jeńców w Niemczech obrzucano kamieniami i pluto im w twarz.

Obozy zesłań, katongi, więzienia bolszewickie były dziełem partyjnych szczytów.

O ile Gestapo było czysto rasową esencją charakteru niemieckiego to G. P. U. stanowiło coś w rodzaju międzynarodówki komunistycznej.

Ci ludzie są odpowiedzialni za martyrologię Polaków, których los zagnał na "nie-ludzką ziemię".

W recepcji z książki p. t. "Jeden dzień Iwana Denisowicza", powiedziałem że obozy sowieckie były "czyścim w porównaniu np. z piekłem Oświęcimia. Pomimo wszystkich cierpień jakie zadawano więźniom obozów sowieckich, ci którzy wykonywali rozkazy Moskwy, nie mieli w nich do dyspozycji pieców krematoryjnych, nie rozbijali główek dzieci o mury, nie gnali nagich kobiet po drogach.



Od 11 lat odbywa się spęd owiec z Podhala na pastwiska górskie w Bieszczadach. Pierwszy przed laty przyprowadził swój redyk na poloniny Bieszczad baba Antoni Zubek. — Na zdjęciu baba Zubek z synem i wnukiem.

Dr. STANISŁAW BUNDYRA

Jedyny adwokat polski w São Paulo
Członek Związku Adwokatów Brazylii

Załatwia wszelkie sprawy sądowe:
cywilne, handlowe i pracownicze,
jak: inwentarze, mieszkaniowe,
upadłościowe itp.

BIURO: Rua Senador Feijó, 29
4 p. s. 417

(obok Katedry) tel.: 35-6521

PRZYJMUJE OD GODZ. 14 DO 19

Więźniowie marli przede wszystkim z głodu, z wycieńczenia i z zimna. Było wiele wypadków, okazania przez połączonych Azjatów litości. Czy zatliła się ona w sercach cywilizowanych "Europejczyków", ziomek Goethego, Dürera lub Wagnera? Nie znam takiego wypadku.

Dlatego to, trudno mi zmienić wypowiedziane w recenzji zdanie.

Reasumuję tę przydługą już odpowiedź:

Za martyrologię Polaków w Rosji, na obozy, za poniewierkę, ponoszą odpowiedzialność przywódcy partii komunistycznej rządzący podówczas państwem. W głowie mi nie pozostało, aby ich z tych zbrodni, — powtarzam — zbrodni, rozgrzeszać i wagę ich obniżać.

Za nieznanie w dziejach ludzkości ludobójstwo, popełnione na obszarach okupowanych przez Niemców, nie ponoszą odpowiedzialności znajdujący się wtedy przy władzy hitlerowcy. Ponosi za nie odpowiedzialność cały naród niemiecki.

Taki jest mój "punkt widzenia".

Jeśli "Zastępca" pragnie jego uzupełnienia, to znajdzie je — w pewnym sensie — w Nr. 917 "Wiadomości" w moim szkicu p. t. "Dawniej E. Wedel".

Może mnie wtedy rozgrzeszy za napisanie recenzji o "Jednym dniu Iwana Denisowicza", podpisanej literkami:

(hp).

"BRASTRAF" INDÚSTRIA DE TREFILAÇÃO S. A.

Trefilação de:

Tubos de aço com ou sem costura.

Barras cheias redondas e com todos os perfis.

Arame de aço.

Rua Ibitirama, 1.800
V. Prudente
Enderêço telegráfico
"BRASTRAF"

Enderêço para correspondência
Rua 7 de Abril, 252 — 10.º

Fones: 63-3100
63-3109

SÃO PAULO

NAJWIĘKSZE I NAJPOPULARNIEJSZE PISMO
POLSKIE W KANADZIE

ZWIĄZKOWIEC

WYDAWANE DWA RAZY W TYGODNIU

które zawsze wyczerpująco informuje o ostatnich
wydarzeniach w Kanadzie, Polsce i w świecie.

Prenumerata roczna:

w Kanadzie \$ 6.00 — za granicą \$ 7.00

Po bezpłatne numery okazowe pisać do:

POLISH ALLIANCE PRESS

1475 Queen St. W. Toronto 3, Ont.

Tel.: LE. 1-2491 — CANADA

Casa Francera

PEDRALIT REVESTIMENTOS LTDA.

ESC.: R. Barão de Itapeteninga, 124 - 6.º. Tels. 36-6734
e 36-0750 — FABRICA: Rua Amaro Cavalheiro, 381 (Pi-
nheiros) - Tel. 8-1189 — SÃO PAULO.



REVESTIMENTOS EM GRANILITE
DECORAÇÕES EM GESSO
MASSAS PARA REBOCO
ARTEFATOS DE CIMENTO
ARTEFATOS DE GRANILITE
LADRILHOS

Wspomnienia z Polski. —

Wędrowki na emigracji.

Przygody w Brazylii.

Oto treść:

Zbioru opowiadań

Henryka Przyborowskiego

"RAPORT KARNY"

który ukaże się nakładem "Londyń-
skiej Biblioteki Literackiej"

BOLESŁAWA ŚWIDERSKIEGO

jako tom XXXVI.

Książka będzie liczyć około 300 stron
druku. Cena w przedpłacie Ł 1.64.
lub \$ 3.00.

Przedpłatę przyjmują w Brazylii:

Red. Seweryn Hartman, — "Prze-
gląd Polski" Caixa Postal 4530 —
São Paulo.

Feliks Rokicki, — Rua Rep. do
Perú 305, ap. 18 — Rio de Janeiro
Janusz Orciuch — Móveis Cimo
Caixa Postal 13, Curitiba, Paraná.

SPRZEDAJĘ i PRZYJMUJĘ

W KOMIS

KSIĄŻKI POLSKIE

SEWERYN HARTMAN

Av. Ipiranga, 1071 — cj. 811

Caixa Postal 4530

Tel.: 35-5432

SÃO PAULO

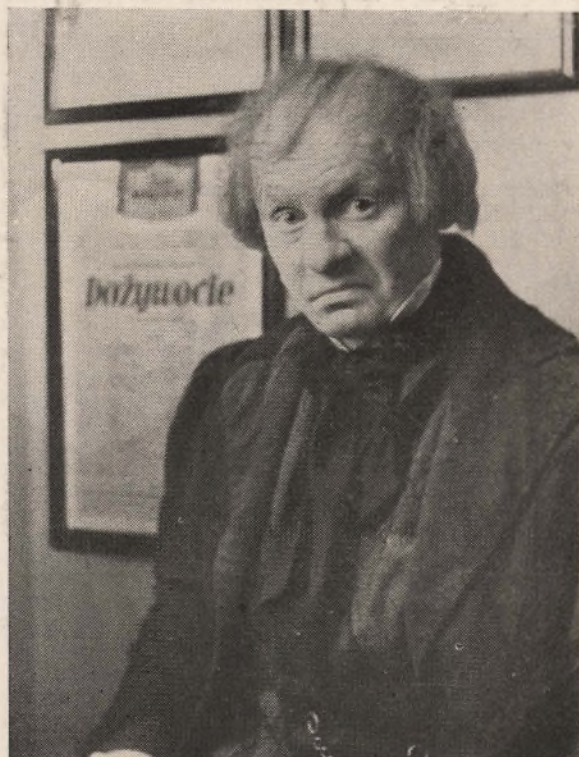


Nowa polska komedia pt. "Dwa żebra Adama" w reżyserii Janusza Morgensterna.

Na zdjęciu: bohater filmu inż. Wiktus (Zygmunt Kestowicz) i jego dwie żony: Włoszka Paola (Joanna Kostusiewicz) oraz Polka (Ewa Wawrzon).



Prapremiera polskiego baletu Mikołaja Piejko pt. "Joanna d'Arc" w Operze Wrocławskiej. Na zdjęciu: Adria Teliszewska (Agnieszka Sorael) i Bronisław Kropidłowski (Karol VII).



Tadeusz Łomnicki, znany aktor warszawski, w roli Łatki w komedii Aleksandra hr. Fredry pt. "Dożywocie" na scenie teatru Współczesnego w Warszawie.



W szkole podstawowej im. Broniewskiego w Gdańsku wprowadzono "gabinetowy system nauczania". Każdą niemal godzinę uczniowie spędzają w innym pomieszczeniu.

Na zdjęciu: w gabinecie robót ręcznych. Wykonane przez uczniów rzeźby z korzeni i gałęzi, regionalne laleczki, pacynki — śmiało mogą się znaleźć na wystawach "zawodowej" plastyki.

FORMICA

MARCA. REG.

DISTRIBUIDORES DE LAMINADOS PLÁSTICOS

DELACO COMÉRCIO E INDÚSTRIA S. A.

TELEFONES:
32-1022 — 34-1246

LOJA E EXPOSIÇÃO:
rua Consolação, 825
São Paulo

FABRASA S/A

FÁBRICA BRASILEIRA DE LÂMINAS

SÃO PAULO

Avenida Francisco Matarazzo, 718

FONE: 62-0673

FABRICANTES EXCLUSIVOS DAS AFAMADAS LÂMINAS DE BARBEAR JOHNSON & JOHNSON

Tricot-lã

sweater
original

